Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA i CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. Lwów, dnia 5 grudnia 1938 r. Nr. 23.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42 a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

NOC BELWEDERSKA

W nawale rocznic, oblewających twarze nasze bliższym, gorętszym i pamiętniejszym tchnieniem historii, wyminęliśmy dzień 29 listopada, który lat temu 108 zapalił się pożogą wielkiej Nocy Belwederskiej. W ogniu spraw potężnych, w roku naszym, tak bardzo historycznym, ledwo jak przez mgłę dostrzegliśmy romantyczne majaki zeszłowiecznej rewolucji wojska i narodu przeciw uzurpatorskiemu Królowi Polskiemu.

Oddaliliśmy się od tych spraw, dzieci epoki gazów wojennych i powietrznych eskadr, żołnierze zmotoryzowanej armii, wyznawcy polowego munduru. Oddaliliśmy się od tych spraw jakby nieprawdziwych, tak dalece kolorowych, tak bardzo poetycznych, układających się samoczynnie w rapsod i malarską wizję. Oto Wojsko Polskie, tamto, z roku tysiąc osiemset trzydziestego, najlepsze pono w ówczesnej Europie, sztyftowane sposobem pruskim, wedle regulaminu francuskiego, ostro zdyscyplinowane, mieniące się barwami wyłogów i rabatów, powiewające dumnymi kitami u wysokich bermyc i czak, lśniące paradnym sztafirunkiem, oczko w głowie przedziwnego Moskala, wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza. Oto Szkoła Podchorążych, nie ta humanistyczna i paniczykowata Szkoła Rycerska dziejów stanisławowskich, nie ta z późniejszych już czasów, z italskiego Cuneo, wolontariuszowska, emigrancka, rewolucjonerska, ale szkoła podchorążych z twardym rygorem, trzymająca aspirantów oficerskich po pięć i po więcej lat w najściślejszym, gemajnowskim rygorze, po trzech latach dopiero pozwalająca na podoficerskie funkcje w służbie liniowej, a jeśli już kogo obdarzająca upragnionym podporucznikowskim patentem, to chyba żołnierza wysokiej próby i doświadczenia. Oto na czele tej armii sztabowcy i generałowie, którzy stopnie swoje zdobywali pod okiem Cesarza, bohaterowie zwycięstw i bojów nieprawdopodobnych, obwieszeni krzyżami Legii, weterani kilkunastoletniej wojny, teraz drżący pod okiem wielkiego księcia na placu rewii i zawiadujący bezpiecznymi twierdzami.

To wojsko. I naokoło: Warszawa. Koła, kółka, kluby cywilne, akademickie, wojskowe, dyskusje po kawiarenkach, konwentykle po domach urzędników Królestwa Polskiego i... podziemia, całe ogromne podziemia karbonaryjskie, wolnomularskie, rewolucyjne, od czasu do czasu wydające na powierzchnię, jakby kwiat jakiś purpurowy, męczeńskiego Łukasińskiego, czy też innego Krzyżanowskiego... Akademicy i młodzi oficerowie, podchorążowie i posłowie sejmowi, kaprale po rozmaitych garnizonach i miejski proletariat, — wszystko zasłuchane w nadchodzący moment, który wisi nad głowami jak wiosenna burza i — wiadomo — nadejść musi. Nadchodzi pewnego wieczora, wybucha nocą listopadową.

Czuje się już w tym wszystkim podmuch idący przez Europę, pachnie rokiem czterdziestym ósmym, wieje wiosną narodów. Rewolucja warszawska z r. 1830 to ruch w pierwszym rzędzie wojska, mieszczan i mniejszej szlachty, powstanie elity intelektualnej i społecznej, ciągnący za sobą wartki i hałaśliwy tłumek hołotki miejskiej. Nie inaczej zresztą było w Paryżu, a później w Niemczech, we Wiedniu i gdzie indziej. Ale Polska, — to społeczeństwo rolnicze, naród, — to w olbrzymiej masie chłopi; tu nie mogły w owym czasie decydować mieszczańskie barykady, inteligenccy patrioci i jakobini, wreszcie niepowszechna armia. Francja to Paryż, — tak pokazał wiek dziewiętnasty — ale Polska to nie tylko Warszawa. Nie ruszyła noc listopadowa mas polskich pogrążonych w nieuświadomieniu narodowym, z lekka tylko „oczynszowanych", w gruncie rzeczy zaś pańszczyźnianych. Nie poradzi wspaniała armia, doskonali dowódcy, kiedy bruździą koterie cywilne i generalskie, kiedy świetni weterani bonapartowscy tu, we własnym kraju umieją wygrywać bitwy, ale nie potrafią silną i zbawczą dłonią chwycić władzy, nie potrafią ostatecznie... zwyciężyć. Kraj nie podtrzymał Warszawy, Warszawa padła. I najświetniejsza w Europie armia z pochylonymi kitami czapek, w steranych rabatach i wyłogach, przetrzebiona w bitwach, idzie na tragiczną emigrację. Przez Niemcy, przez Francję, przez ocean, przez obydwie Ameryki...

Koniec nocy listopadowej tragiczny, ile jednak w tym tragizmie epickiego wyrazu, ile żałobnej dumy w tych emigrackich, nie ujętych amnestią exodusach! To jest właśnie duma i siła, która pozwoliła narodowi polskiemu ponosić klęski, ale nie przegrywać duchowej niepodległości, upadać, ale nie ginąć. Zostają wizje batalij, — Olszynka, Iganie, Stoczek, majaczy się na długo beznogi Sowiński przed wolskim kościołem; płomień Solca i cienie podchorążych pod Belwederem na długo zakrywają karty wspomnień narodowych. Nie zdobywszy własnej wolności, oficerowie i żołnierze armii Królestwa Polskiego, które nie chciało Mikołaja królem, idą walczyć o wolność cudzą, po Italiach, Niemczech, Węgrach i Amerykach. Nie ma prawie w przestrzeni późniejszych lat dwudziestu jednej rewolucji w Europie, której by wojskowo, choć przez krótki czas nie przewodził oficer listopadowego powstania. Nawet wolność dla południowo-amerykańskich republik zdobywają polscy dowódcy. Bem, Dembiński, Wysocki... Za naszą wolność i waszą...

Choć tyle już lat i zbladły we wspomnieniach barwy rabatów, choć niedzisiejsza już romantyczność tamta i dawno już wywalczone to, o co tamci walczyli, trudno jest ustrzec się od zadumy, gdy cienie Nocy Listopadowej biją w jasno oświetlone szyby naszej Rzeczypospolitej.

Stefan Rozłucki

Uwagi do dekretu dewizowego

Repatriacja polskich kapitałów

Dnia 7 listopada b. r. ukazał się w Dzienniku Ustaw R. P. Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej nowelizujący przepisy Dekretu dewizowego z 26 kwietnia 1936 r. Dekret ten był poprzednio już dwukrotnie nowelizowany: 29 września 1936 r. i 3 października 1938 r. Nowele te miały charakter wykładni autentycznej, merytorycznego zaś znaczenia większego nie miały.

Zadaniem Dekretu Dewizowego z 7 listopada było — jak się ogólnie pisało — „uszczelnić system polskiej ochrony dewizowej". Niemniej jednak i jego celem było usunięcie szeregu braków i wątpliwości, które wykazywały polskie przepisy dewizowe.

Główne postanowienia nowego dekretu przedstawiają się następująco:

1) wywożenie za granicę złota w stanie nieprzerobionym oraz złota w stanie przerobionym we wszelkiej postaci, kamieni szlachetnych, platyny i innych klejnotów — jest zakazane. Postanowienia te są nowością.

2) Zakazane jest również wysyłanie i wywożenie za granicę środków płatniczych. Zakaz stawiania cudzoziemcom do dyspozycji środków płatniczych został obostrzony postanowieniem, mocą którego zakazane jest „wszelkiego rodzaju dysponowanie przez osoby fizyczne i prawne, mające miejsce zamieszkania lub siedzibę w kraju, posiadanymi za granicą środkami płatniczymi". Dotyczy to też posiadanego za granicą złota, nieruchomości, papierów wartościowych oraz wszelkich praw majątkowych.

3) Art. 10 dekretu dewizowego zobowiązuje do zgłoszenia posiadanego za granicą majątku i zaofiarowania do skupu lub inkasa wszelkich posiadanych za granicą środków płatniczych, złota, należności, nieruchomości i innych praw majątkowych.

Przepisy dekretu dewizowego obwarowane zostały szeregiem sankcji, niekiedy obostrzonych, częściej zróżniczkowanych. Dekret zawiera też szereg przepisów natury proceduralnej.

* * *

Tak w zarysie przedstawiają się najważniejsze przepisy dekretu, wokół którego na łamach polskiej prasy, przede wszystkim gospodarczej, toczyła się żywa dyskusja.

Olbrzymia większość prasy i opinii polskiej wypowiedziała się bez żadnych zastrzeżeń po stronie Ministra Skarbu. Szeregi przeciwników dekretu przedstawiają się bez porównania skromniej.

Z jednej i drugiej strony padały argumenty, których ciężar gatunkowy dobitnie świadczył o sposobie myślenia sfer, które dany organ pracy reprezentuje.

Jeśli chodzi o zwolenników dekretu, z „Gazetą Polską" na czele, wysuwali oni następujące argumenty: Dalsze uszczelnienie przepisów dewizowych, a w szczególności rejestracja złota i zagranicznych środków płatniczych jest następstwem polityki dewizowej, na którą zdecydował się rząd polski w 1936 r. Polska, kraj ubogi, nie może pozwolić sobie na to, by jej kapitały leżały w zagranicznych safesach lub służyły jako pożyczki dla daleko bogatszych krajów: Anglii, Francji, Szwajcarji, Stanów Zjednoczonych... Kapitały te muszą w imię interesu ogólnego pozostać w Polsce. Interes ogólny, któremu brak zaufania i płochliwość kapotalistycznych sfer polskich wyrządza wielką krzywdę, stać musi przed interesem jednostek. Polska zezwolić również nie może na istnienie własności biernej, egoistycznej, bezużytecznej, nie uwzględniającej gospodarczej racji Narodu i Państwa. Obowiązek ten spoczywa na polskim kapitale szczególnie dziś, kiedy Państwo tak usilnie inwestuje; musi on wziąć udział choćby najskromniejszy w procesie produkcji i w przysparzaniu przez to majątku narodowego. Granica interesu jednostki kończy się tam, gdzie zaczyna się interes zbiorowości; poza tą granicą prawa jednostki respektowane już być nie mogą.

Druga grupa, grupa przeciwników dekretu z „Kurierem Polskim" na czele wskazywała na dalsze pogłębienie się interwencjonizmu państwowego przez ograniczanie prawa własności, które jest podstawą ustroju społeczno - gospodarczego Polski, na ewentualne zarządzenia odwetowe zagranicy i związane z tym obawy wypłoszenia z Polski kapitałów obcych, a w przyszłości całkowite wstrzymanie ich dopływu. Wskazywano też na to, że dekret dewizowy nie uratuje Polski przed biernością bilansu płatniczego, bo jedynym ratunkiem może być tylko aktywizacja życia gospodarczego kraju. Środki takie, choćby skuteczne, są krótkofalowe i istoty rzeczy nie rozwiązują.

Z obu kategorii wyżej przytoczonych poglądów przekonujemy się łatwo, że o ile argumenty zwolenników dekretu troszczą się tylko o interes Państwa, interes zbiorowy, o tyle przeciwnicy dekretu w zupełności dbają tylko o nienaruszalność tradycją wieków uświęconego prawa własności. Linia podziału między wyznawcami idei gotowości najdalszych poświęceń dla państwa, a apostołami doktryny liberalnej występuje bardzo wyraźnie na tle powyższej ilustracji polemicznej. Tym też łatwiej można obrać sobie miejsce po jednej czy drugiej stronie.

Skoro obrońcy „zasad liberalnych" wypowiedzieli tak jasno swój pogląd na rzecz, trudno będzie im o popularność w tej Polsce, w której tak mało ludzi ma co wywozić za granicę...

Niezawodnie własność prywatna, zagwarantowana konstytucją, jest podstawą ustroju społeczno-gospodarczego Polski; tym niemniej musi mieć ona granice, które uzasadnia rozumnie pojęty interes zbiorowy. Niewiele też nauczyć mogą przykłady państw zamożnych, które magą pozwolić sobie na swobodną migrację kapitałów. Polski na to nie stać.

Nawet tych — jak niektórzy mówią — „skromnych pół miliarda złotych", które w wyniku wykonania dekretu wrócą do Polski, stanowi poważny „kapitalik", którym w polskich warunkach ciasnoty kapitałowej — pogardzić nie można. Lepszy wróbel w garści, niż kanarek na dachu — lepszy pół miliarda, niż owe... miliardy, które mimo ciągłych obietnic pewnych sfer do Polski nie płyną... szerokim strumieniem.

* * *

Zaprzeczyć nie można, że dekret dewizowy ogranicza prawo własności jednostki, ale nie może też nikt zaprzeczyć, że tego wymaga interes ogólny. I mimo wielu zastrzeżeń, tych pół miliarda pozwoli nam na dłuższy oddech, w czasie którego będziemy mogli przemyśleć plan gospodarczego uaktywnienia Polski na czas najbliższy.

„Kurier Polski", który rej wodzi wśród obrońców zasad liberalnych, radzi „zająć się więcej w dzisiejszej sytuacji bilansem handlowym, jako w naszych warunkach główną częścią składową bilansu płatniczego... W każdym razie generalnie rzecz biorąc, pamiętać należy o tym, że uaktywnić bilans handlowy i płatniczy można tylko przez uaktywnienie gospodarstwa, a nigdy przez pogłębienie zastoju".

Jakkolwiek uwaga ta jest słuszna, Polska dziś potrzebuje kapitału. A po wtóre przyciągnięcie kapitałów do kraju w zupełności nie przeszkadza zająć się bilansem handlowym.

Tych kilka uwag, poczynionych na marginesie dekretu dewizowego, jest przyczynkiem do dyskusji, która toczy się od dawna między przeciwnikami polityki planowej, sferami wielkoprzemysłowymi a zwolennikami zasady „wszystko dla Państwa".

Zdaje się, że każdy rzetelny obywatel potrafi stanowisko jednych i drugich ocenić.

Andzej Karski

20.000 Italów ląduje w Trypolisie

IMPERIUM... W PUSTYNI

„Była to piękna podróż. Na zaproszenie rządu włoskiego około ośmdziesięciu pisarzy, publicystów, fotografów i operatorów filmowych z Italii i całego świata wsiadło w Genui na okręt, który wylądował via Neapol i Sycylia w Trypolisie, stolicy Libii, odebranej Turkom przed 1914 r. Za nimi dwadzieścia statków, wiozących dwadzieścia tysięcy kolonistów, ściągniętych z różnych stron Italii, wylądowało tego samego dnia w afrykańskim porcie" — Pisze Andre Foucault, dziennikarz francuski.

Ze wszystkich miast: z Cirene, Misuraty, Benghasi rozpełzły się w głąb kraju macki olbrzymiej karawany kolonistów, prowadzonej przez prokonsula Balbo, okupując setki nowych wiosek, tysiące farm, wyrosłych w ciągu siedmiu miesięcy. Będzie tu dojrzewało zboże, oliwki i migdały, będzie się udawała bawełna i rycynus bądź pod deszczem z nieba, jak na wyżynach Cyrenaiki, bądź pod wodą ze studzien artezyjskich, wykopanych w głębokości 400 metrów pod ziemią, jak na nizinach Trypolitanii.

— Trzeba zbudować w Libii trzy tysiące kilometrów dróg? Och, skoro zdołano już w Etiopii wybudować cztery i pół tysiąca...

W kraju, odebranym ongi Grecji i Kartaginie, onegdaj Turcji, pragnie dzisiejszy Rzym założyć nowe życie, zapewnić mu rozkwit i dobrobyt. Leptis, kolosalne miasto Fenicjan, odkopuje się z piasku, przywianego wichrami pustynnymi; odsłania się ruiny, forum, łaźnie, nienaruszony amfiteatr. Cuda Cirene wyrastają spod instrumentów archeologów. Lasek dzikich oliwek, skarłowaciałyh w nie kończącym się stepie jest szczątkiem plantacyj greckich. Włochy z 1938 roku szukają wody? Resztki kamiennych zbiorników na wysuszonych stepach dowodzą, że Grecy, Fenicjanie, Rzymianie znaleźli ją i nawadniali swoje plantacje.

Początkowo Włochy powierzyły kolonizację Libii przedsiębiorcom-kapitalistom. Udzielono im subwencyj w formie wykopanych studzien, zasadzonych drzew itp., zobowiązując w zamian do użycia wyłącznie robotnika włoskiego. Gdy kapitaliści nie dotrzymali tego punktu kontraktu, wyzyskując tańszą robociznę tubylczą, rząd włoski wstrzymał kolonizację kapitalistyczną, organizując w jej miejsce kolonizację ludową. Prokonsul Balbo w tych słowach wypowiada się o chłopskiej kolonizacji:

— Umowy, zawarte z pierwszymi kolonistami będą dotrzymane. Ale my pragniemy stworzyć drobne własności, tysiące drobnych gospodarstw rolnych. Osiedlimy w Libii nadmiar naszej ludności w Italii i damy im ziemię. Prawdziwymi **komunistami** jesteśmy my.

I podczas całej podróży, w samochodzie czy przy stole, marszałek podkreślał:

— ...Komunizm dowodzi, że **chce dać** ziemię chłopom. Faszyzm **ją daje.**

Nie pora na dyskusje. Zaledwie starczy nam czasu na zapoznanie się naoczne z programem, który przewiduje uwłaszczenie dwudziestu tysięcy wieśniaków. Stoją tu przed nami, na wielkim placu w Trypolisie, zgrupowani według okolic, z których pochodzą. Zanim nastąpi rozdawnictwo ziemi, wysłuchają przemówienia szefa kolonii, stojącego na skromnej trybunie, wzniesionej obok pomnika Mussoliniego: **Duce** siedzi na wspiętym rumaku, owinięty w płaszcz imperatorski, z szablą wzniesioną ku niebu. Ksiądz w komży wezwał tłum do odmówienia „Ojcze nasz".

Przy dźwiękach hymnu królewskiego ,pojawia się prokonsul w skromnym mundurze khaki, bez rękawiczek. Przemawia krótko:

„...Granice ojczyzny przesunęły się za morza. Zawdzięczacie Duce bezpieczeństwo ziemi, którą będziecie uprawiali dla siebie i dla narodu. Niech żyje Król-imperator, niech żyje Duce!"

Tysiące małych chorągiewek powiewa w takt ogłuszających wiwatów. Następnie tłum topnieje w ulicach miasta, na których ustawiono beczki z winem, przypatruje się morzu z esplanady Pod Palmami. Zanim powrócą do pługa, wieśniacy wykorzystują bony do teatru, do kina, kartki na trunki i potrawy, na papierosy, którymi obdarowała ich metropolia.

Olbrzymie tereny piaszczyste, przeznaczone na kolonizację, zostały przez fachowców podzielone na strefy, odpowiednio do właściwości gleby, klimatu i obfitości wody deszczowej, czy studziennej. Odkupione od tubylców, których Libia liczy nie więcej jak milion, ziemie te zostały skatastrowane według ich możliwej wydajności. Tu dwadzieścia pięć hektarów zdoła wyżywić rodzinę, gdzieindziej wystarczy dwanaście. Na każdym z wydzielonych terenów pobudowano farmy jednego typu: wspólna izba, trzy

MARCIN BRANICKI

Po tamtej stronie frontu

Znużenie było w 1918 roku udziałem wszystkich społeczeństw, wplątanych w szalony wir wojny światowej. Nie oparły mu się ani zwycięskie ani nawet neutralne narody. Wszystkie miały dość wojennych komunikatów, triumfalnych fanfar, tragicznych wstrząsów, kłamanych złud, brutalnie deptanych praw, niedostatku i niedoli. Załamanie się państw centralnych przyjął świat z westchnieniem ulgi i z radością witania nowej, szczęśliwej ery.

Dla Polski jednak dopiero zaczynał się czas próby! — Trzeba było doświadczyć patriotycznego poczucia mas, zdolności do czynu, wytrzymałości zbiorowej woli, którą tak długo usiłowała osłabić polityka zaborców, paraliżowały natarczywe i podkopujące poczucie godności „orientacje" politycznych partii, rozkładał oportunizm zrezygnowanych i zbiedzonych kół inteligencji, gotowych składać na barki zasiadających do pokojowych pertraktacji przedstawicieli walczących potęg decyzję o losie Polski i jej przyszłości.

W ten stan znużenia i niemocy woli uderzyły twarde ciosy konieczności. Trzeba było doraźnie stawiać czoło gwałtom, które usiłowano zadać Polsce ze wszystkich stron, — nie licząc ciężaru przemocy stóp obcych armii, które w listopadzie 1918 roku deptały polską ziemię.

Ponad znużenie, ponad chęć spokoju i wytchnienia przemówiła ówczas zbiorowa wola decydowania o losach Polski we wszystkich polskich dzielnicach. Dał jej hart i moc uderzenia powracający z Magdeburga Józef Piłsudski. On był tej woli ofiarnym opiekunem i pojonym żółcią hodowcą w czasach wielkiej wojny, on stał się jej mężnym ramieniem, gdy po obszarach Polski chciało bezkarnie przechadzać się bezprawie i gdy ze wszystkich stron biły dzwony na trwogę.

O tym wiedzą wszyscy w Polsce, — więc może ciekawsze będzie wspomnieć, czym ożywione były te żywioły, które w godzinę rozprzęgania się dawnych mocy, stanowiących o porządku spraw w Europie, sięgnęły po obszary, uważane w poczuciu powszechnym za polskie i nietykalne przez niczyje pretensje.

Dla każdego lwowiaka dzisiaj wydaje się okropną zjawa, że Lwów, opromieniony wiekami kulturalnej pracy polskiej, stał się ogniskiem obcego życia, jak to się miało stać według ukartowanego planu autriacko-ukraińskiego w 1918 roku. — Na Lwów i na wschodnią Małopolskę poszły ukraińskie pułki austriackiej armii i oddziały Siczowych Strzelców, skonsygnowane w Czerniowcach. Miały one objąć ten obszar jako zachodnią Ukrainę i włączyć do kompleksu ziem, oznaczonych wspólnym mianem niepodległej, wielkiej Ukrainy. Taki był znany program działania ukraińskiej „Nacjonalnej Rady", którego realizację rozpoczęto nocnym zamachem na Lwów w listopadzie 1918 r.

Działania bojowe wojny z Ukraińcami zapisała historia. Zarejestrowano ofiary i straty. Lecz poza możnością obliczeń została moralna strona wydarzeń wojennych, osobliwie te szczerby i rysy, które na psychice wojujących Ukraińców pozostawiły nie klęski wojenne i rozczarowania,— bo te mogą oddziaływać nawet dodatnio na pobitych, — lecz sposób wpływania i metody, stosowane przez kierownicze sfery ukraińskie, urabiające dusze swych żołnierzy podczas wojny. Metody te oddziaływały nie tylko na przeciąg działań wojennych. Zasięg ich wpływów był dalszy, — ich skutki można odczytać po dzień dzisiejszy, wypisywane wymownymi wyrazami pożóg i gwałtów.

Mówią o tych metodach znajdowane przy jeńcach i poległych ukraińskich broszury, czasopisma, kalendarze, notatniki. — Zbrukane, splamione krwią, trwałe dokumenty wychowawczej opieki, roztaczanej przez komendy nad ukraińskim żołnierzem!

Oto notes, znaleziony przy poległym po ataku na Czartowską Skałę! Piosnki w nim wojackie, polskie obok ruskich — i te i te pisane alfabetem łacińskim:

„Pod zielonym dębem Jasio listy [pisze,
Nadobna dziewczyna dzieciątko [kołysze..."

lub:

„Popid lis (2) taj popid liszczynu
Ta nadybaw ja choroszu diwczynu..."

Skąd temu z nazwiska chyba nie ukraińskiemu żołnierzowi do ukraińskich szeregów? Skąd mu ochota do walki o zachodnią Ukrainę? Jakaż moc zatrzymała go na posterunku, jak doszło do tego, że utrwalone w notatniku jego bardziej polskie niż ukraińskie uświadomienie przedzierzgnęło się na czynne wystąpienie przeciw polskiemu żołnierzowi, walczącemu za polskość Lwowa i wschodnich kresów?

Odpowiedź na to można odczytać w kalendarzyku pt. „Ukrainec", w broszurze M. Irczaka pt. „Kim są U. S. S. (ukraińscy siczowi strzelcy)" w „Krótkiej historii ukraińskiego narodu", opowiedzianej przez I. Hałuszczyńskiego i w numerach czasopisma dla ukraińskiego wojska pt. „Striłeć". To wypełniało kieszenie i plecaki ukraińskich jeńców i poległych.

Z wszystkich tych pism woła wielkim głosem społeczna nienawiść, nieustanne wmawianie w żołnierza, że jest mścicielem wiekowej niewoli i krzywdy, doznawanej od polskiego pana, którego narzędziem jest polski żołnierz, niosący na swym bagnecie nakaz poddaństwa i posłuszeństwa „rabom" (niewolnikom).

„Żołnierze ukraińskiej narodowej republiki, — przemawia z kart kalendarzyka sekretarz spraw wojskowych Dymitr Witowski, — *wrogowie nasi, panowie Lachy, chcą zagrabić naszą ziemię, nasze wsie, nasze łany i przyłączyć do swej Polski, tej tiurmy (więzienia) ludu pracującego! Palą oni nasze sioła, rabują nasz dobytek, mordują ojców, siostry, matki wasze bez litości, bez współczucia, bez miłosierdzia! I woła do was krwawym płaczem cała uciemiężona kraina: ratujcie nas z katorgi najcięższej niewoli!"*... — Warto za taką sprawę zginąć. — *„Wszystkie pokolenia będą was sławiły, żeście wywalczyli ziemię i swobodę z pięćsetletniej niewoli złego polskiego panka"*.

Pod tym samym kątem społecznej nienawiści ułożone są „Dzieje ukraińskiego narodu" Hałuszczyńskiego.

„Ciężko biedował nasz naród pod panowaniem polskim (od XV w.). Panowie polscy patrzyli na ukraińca jak na zwierzę. Mowę naszą i naszą wiarę nazywali „chłopską" — a samych ukraińców mienili „bydłem". Ukraiński naród nie miał żadnych praw, nie broniły go żadne ustawy. Panowie tedy zabrali od chłopów wszystką ziemię — a ich uczynili swymi niewolnikami (kripakami"). — Nic dziwnego, że wywody takie gładko można było zakończyć powtarzającym się stale refrenem: *„Póki bystra woda Dniepru w morskiej ginie wodzie, póty serce ukraińskie z pańskim się nie zgodzi"*.

Lecz aby ten zaczyn społecznej nienawiści przemienić na karne wytrwanie w wojskowych szeregach, na mozół uciążliwych walk i wojennego ryzyka, trzeba było mimo wszystko moralnego terroru, który ponurym tonem przemawia z komunikatów „Strilcia", donoszących o poległych — i o egzekucjach dokonanych na dezerterach ukraińskich armii. — Pisze nad takim komunikatem „Striłeć" patetyczne rozwazanie:

---

pokoje, piec piekarski, stajnia. W centrum wioski kościół, poczta, spółdzielnia żywnościowa, ambulans, centrala hydrauliczna, domy rzemieślnicze dokoła ukwieconego placu. Żadnego kąta dla tubylców. Sami Włosi, dla których wioska ma być alfą i omegą życia. Jeżeli najstarszy syn się ożeni, gospodarstwo podzieli się na połowę, według przewidzianego planu, albo też małżonkowie zażądają osobnej działki. Przewiduje sie, że kolonista, któremu państwo udziela zaliczki w formie ziemi, domu i całego inwentarza, powinien się stać w ciągu dwudziestu pięciu lat właścicielem farmy, spłaciwszy pożyczkę ratami.

— Jeżeli który z kolonistów, lepiej gospodarując niż jego sąsiad, zapragnie powiększyć swój stan posiadania — czy będzie mu wolno odkupić gospodarstwo tamtego?

— Nie.

— A wydzierżawić ziemię za uskładane oszczędności?

— Także nie.

Wszystkie ewentualności tego rodzaju natrafiają na niewzruszoność przepisów, uniemożliwiających ucieczkę. Marszałek uśmiecha się, kiedy zapytuję, czy wioski będą miały coś w rodzaju samorządów.

— Wyznaczy się na wójta kogoś, kto będzie miał czas na wypełnianie tych funkcyj; może lekarza, może nauczyciela...

Libia liczyła w 1935 r. dwanaścieset rodzin kolonistów, z czego dwieście drobnych rolników. W 1937 — dwa tysiące dziewięćset, z tego ośmset rolników z rodzinami. W 1938 — cztery i pół tysiąca z licznymi rodzinami, w czym dwa tysiące sześćset rodzin osiadłych na roli. Po tej ostatniej instalacji Mussolini wysłał depeszę: „Chciałbym dwa i pół tysiąca więcej w roku przyszłym". Jest to kwestia pieniędzy. Jeśli środki pozwolą, to za piętnoscie lat obok pierwszych kolonistów osiedli się w Libii około trzydziestu tysięcy rodzin chłopskich. W chwili obecnej prospekty przewidują w sumie przesiedlenie do Libii trzystu tysięcy Włochów.

Pytam jeszcze marszałka Balbo:

— A gdyby tak który kolonista wylądował w Afryce z jakimś niewielkim kapitałem, którym by pragnął obracać w nowej ojczyźnie?

— Powiedziałbym mu: „Użyj pieniędzy w Italii, która ich potrzebuje. Tutaj pragniemy mieć wyłącznie proletariuszy". Zresztą plan, obowiązujący dzisiaj, przewiduje się na czterdzieści lat. Potem zobaczymy.

Gęsto rozlepione afisze głoszą:

Każdy kolonista jest żołnierzem Duce...

Mussolini nadaje ziemię i buduje miasta... Bądźcie godni Mussoliniego. Naród włoski stworzył imperium swoją krwią. Zapłodni go swoją pracą i będzie bronił orężem przeciw czyimkolwiek zakusom.

Milicjant faszystowski jest dobroduszny. Bierze na ręce zmęczone **bambino,** pociesza zapłakaną dziewczynkę. Rząd zdaje się być jedną wielką **Maternità.** W miastach — jeżeli już nie surowa cnota, to przynajmniej... granice w rozpuście. Od chwili prokonsulatu marszałka Balbo nagie tancerki Trypolisu włożyły... **slipsy.**

*

Organizowanie nowego Rzymu odbywa sie w atmosferze powszechnej radości. Wszyscy ci Rzymianie, pełni entuzjazmu, podejmują nas z rozczulającą gościnnością. Na ich czele czterdziestoletni marszałek, srogi dla swojego sztabu, ale uśmiechnięty przy coctailu, przy stole i przy cygarze, żartuje z czterema paniami, biorącymi udział w karawanie. Prezyduje przy stole, mając po prawej ręce panią Ruth Hildebrandt Goering, dziennikarkę z Essen, po lewej uroczą Włoszkę. Naprzeciwko reprezentanci dzienników trzech demokracyj: Anglii, Francji i Ameryki.

W Benghasi, w hallu dużego hotelu, marszałek pije poobiednią kawę w towarzystwie gości. Jeden z oficerów melduje, że kilkuset Włochów i tubulców, zebranych na placu, życzy sobie ujrzeć marszałka. Na znak podaja mu kepi, na ramiona zarzucają płaszcz z czarnym kapiszonem, podbitym czerwonym jedwabiem. Trzykrotny apel trąbki zwiastuje ukazanie się prokonsula. Padają krótkie, mocne słowa:

— La vittoria... una sola preoccupatione... L'avenire della Libia...

Tłum wydaje radosny okrzyk:

— Balbo... Balbo...

Gestem marszałek przywołuje ich do rzeczywistości.

— Duce... Duce...

Za dwadzieścia pięć lat pustynne granice Libii przeistoczą się w ogrody. Trypolis, liczący już obecnie ponad sto tysięcy mieszkańców, Benghasi, Cirene — zastąpią kwitnące miasta starożytności, przysypane piaskiem pustyni, lub zrównane z ziemią przez Wandalów.

W drodze powrotnej, dojeżdżając do Neapolu, dziennikarze spotykają jeden z największych parowców włoskich, **Lombardię.** Pokłady są nabite młodymi ludźmi, w mundurach khaki. Pozdrawiają faszystowskim wyciągnięciem dłoni i **Hymnem Rzymskim** Pucciniego. Młode imperium rozrasta się z rozmachem i realizmem, odziedziczonym po przodkach.

Mar. Gr.

Niemcy u siebie i w Polsce

Ilu jest Polaków w Niemczech?

Niemiecka polityka narodowościowa, szczególnie na kresach wschodnich Rzeszy, opiera się na założeniu upraszczającym, że nie ma w Niemczech ludności polskiej, osiadłej zwarcie w wielkiej masie. Toteż od r. 1936 jesteśmy świadkami śmiesznych prób cyfrowego pomniejszania polskiego problemu narodowościowego w Niemczech. Różne organy prasowe niemieckie, wśród nich zaś nawet bardzo oficjalne, podawały tę cyfrę na 40.000 — 150.000 głów. Charakterystyczne jest, że nie osiągnęły nawet zgodności co do przedmiotu, który w normalnej statystyce stanu ludności, prowadzonej przez każde cywilizowane państwo, należy do stosunkowo łatwych do ujęcia. Charakterystyczne jest również, że w podanych cyfrach zlekceważono nawet wyniki statystyk oficjalnych Rzeszy, chociażby spisu ludnościowego z 1910 r. (1.517.440 Polaków), z 1925 roku (802.934 Polaków), czy spisu z r. 1933 (440.168 Polaków). Niemniej faktem jest, że w niemieckiej polityce narodowościowej, zwłaszcza na kresach wschodnich Rzeszy, to pełne zakłamania „uproszczenie" statystyczne odgrywa decydującą rolę. Znamienny jest tu m. in. głos „Ostdeutsche Morgenpost" (15. 8. 1937) z okresu po upływie Konwencji Genewskiej, która wypomina Polakom, że „zbyt się przyzwyczaili do tezy, iż na Śląsku zachodnim (Westoberschlesien) ludność jest polską; tego rodzaju twierdzenia nie będą już dozwolone". Zaprzecza się istnieniu zwartych skupień ludności polskiej tam, gdzie to najmniej ulegać może wątpliwości. Mówi się natomiast o terenach etnicznych specjalnych „narodowości": Mazurów, Kaszubów i Wasserpolaków, jako tzw. nowoniemieckich szczepów. Teoria o nowoniemieckich szczepach nie dopisuje jednak w praktyce dnia codziennego. Okazuje się bowiem, że ten dowolnie wyodrębniony szczepowo Mazur, Kaszub czy „Wasserpolak" nie rozstaje się z polską książką do nabożeństwa, nie przestaje mówić wyłącznie po polsku i pielęgnować obyczajów polskich.

Te „naukowe" tezy mają uzyskać potwierdzenie w przygotowanym od dłuższego czasu spisie ludności. Konstrukcja rubryk spisowych, jak również przepisy karne są tak pomyślane, że w istniejących warunkach nacisku ekonomicznego i politycznego można będzie dostosować liczbę ludności polskiej stosownie do potrzeby.

Na razie zdania niemieckich „uczonych w piśmie" są bardzo podzielone w sprawie liczby Polaków w Niemczech, jak to wynika z poniższego zestawienia:

1. Ostdeutsche Morgenpost	25. XII. 36	250.000
2. „ „	14. II. 37	200.000
3. Preussische Zeitung	12. VIII. 37	100.000
4. Völkischer Beobachter	20. VIII. 37	40—50.000
5. Berliner Tageblatt	8. XII. 37	20—25.000
6. „ „	8. XII. 37	200—250.000
7. „ „	23. III. 38	100.000
8. Thurgauer Zeitung	4. IV. 38	200.000
9. National Zeitung	24. V. 38	40.000
10. Berliner Börsen-Zeitung	12. VI.38	100.000
11. Der Neue Tag	18. VI. 38	60—70.000

Nowy spis ludności wpłynie niewątpliwie na „ustalenie" — dla własnego chociażby użytku prasy III. Rzeszy— liczby Polaków, jeżeli oczywiście uda się liczbę obniżyć do założeń polityki mniejszościowej. Stosując zasadę wzajemności stosownie do postanowień deklaracji polsko-niemieckiej z 5 listopada 1937 i zapożyczając metody statystyczne III Rzeszy będziemy mogli uzyskać analogiczne rezultaty, albo i lepsze bo w Polsce spis ludności odbędzie się dwa lata później.

—o—

Jak narodowy socjalizm zwalcza katolicyzm na Śląsku Opolskim?

Aktualny stan walki Niemiec narodowo-socjalistycznych z kościołem katolickim został wyczerpująco przedstawiony i zanalizowany w orędziu biskupów niemieckich z 28 sierpnia br., podkreślającym w sposób nie nasuwający żadnych wątpliwości zdecydowanie wrogie ustosunkowanie się państwa do katolicyzmu. W orędziu tym episkopat niemiecki stwierdza m. in., że czynniki oficjalne popierają wśród ludu katolickiego na Śląsku Opolskim ruch odstępczy przez tworzenie gmin sekty starokatolickiej, która przybrała ad hoc nazwę „Deutsche Nationalkirche" — „Niemiecki, niepodległy Rzymowi kościół narodowy". O tym, jak wygląda działalność tej sekty, dowiadujemy się z naocznej relacji człowieka, który wziął udział w nabożeństwie, zorganizowanym przez staro-katolików:

Udajemy się do miejscowego gimnazjum państwowego (!), w którego auli ma się odbyć nabożeństwo. Obszerna, elegancka sala zamieniona została na kościół prowizoryczny. Urządzenie wspaniałe. Od razu przykuwa wzrok olbrzymia swastyka, na której tle ołtarz z miniaturowym krzyżykiem schodzi na dalszy plan. W sali jest poza tym większa ilość swastyk większych i mniejszych. „Wierni", to przede wszystkim miejscowi urzędnicy, którzy jako najbardziej zależni zjawili się w komplecie. Uderza u wszystkich pewne zakłopotanie. Z niedowierzaniem patrzy jeden na drugiego. Od czasu do czasu witają się poprzez całą salę znajomi i znajome. Bardzo dziwnie brzmi w tym „kościele", gdy ktoś z pierwszej ławki zwraca się na głos do znajomych w ławce ostatniej: „Heil Hitler Panu, Panie N. N."... „Heil Hitler Szanownej Pani". Ale w nastrój humorystyczny wprawia nas pewien jegomość, persona — sądząc z uwagi, jaką go wszyscy darzyli — bardzo ważna. Otóż krokiem wojskowym idzie przez salę i staje na baczność przed ołtarzem-swastyką. Podnosi prawicę i słyszymy gromkie: „Heil Hitler, Panie Boże, Heil Hitler towarzysze".

Wychodzi ksiądz ze mszą. Wszystko jak u katolików, tylko tekst łaciński przetłumaczono na niemiecki, z małymi oczywiście poprawkami. Ksiądz - apostata, ex - franciszkanin, wstępuje na ambonę, zdobną w swastyki. Na podstawie tekstu biblijnego: „Nie przyszedłem rozwiązywać zakonu i proroków, lecz wypełnić" (Mat. 5. 17) tłumaczy kaznodzieja sens ten nowej organizacji. Według niego wszystko w świecie jest względne — tak samo i prawda. Do tej względności stosuje się Bóg. Ponieważ uznaje dla pewnych epok pewne prawdy i prawa — więc ogłasza je ludziom przez jednostki wybitne. Taką jednostką był np. Chrystus. Żył w okresie czasu, w którym się wszystko przełamało. Wówczas to Bóg przez Chrystusa ogłosił prawdę i prawo nowe. To się dzisiaj już przeżyło i oto zjawił się nowy prorok — Adolf Hitler, który głosi światu nowy zakon — prawo krwi i rasy. Z wywodów księdza nasuwał się słuchaczom wniosek jeden: należy się zupełnie podporządkować temu prądowi i wpływać na innych w tym kierunku. Ciekawy jest fakt, że mowa nie była wygłoszona swobodnie ale odczytana z kartek drukowanych. Cały styl i układ tego elaboratu robił wrażenie, że nie pochodzi on od takiego czy innego księdza, pokłoconego z przepisami kanonicznymi, czy ze swoją władzą, ale wprost z ministerstwa propagandy — z oddziału kościelno-politycznego.

—o—

„Przyjdzie kiedyś wasz towarzysz bojów ze swymi wnukami na waszą mogiłę, odkryje siwą głowę i powie: ot tu pod dębowym krzyżem spoczywa dziesiętnik Pohorecki, obok niego strzelec Janów, — a tam dalej strzelec Fedorów i Bereski — a na lewo od nich pod tym krzakiem czerwonej kaliny strzelec Mazur i Monastyrski. Sławni to byli druhowie. Pomódlcie się za nich i przekażcie swym wnukom, że oni wywalczyli wolność dla nas i naszej Ukrainy. A te drugie mogiły — to mogiły rozstrzelanych dezerterów. Tam za miastem zarastają burzanami i pokrzywą, ani krewni ani towarzysze ich nie uprawiają. Wstydzą się, nie chcą się przyznać do tych, którzy zdradzili i porzucili towarzyszy boju, którzy gorzej od bydła nadstawiali swój niewolniczy grzbiet pod plugawe lackie jarzmo, którzy się ukryli w domu, kiedy bezczelny, nienasycony Lach w swych rozbójniczych napadach palił wsie, mordował niewinne ukraińskie niewiasty i dzieci. Hańba i wstyd rozchodzi się smutnym, głuchym echem po całej Ukrainie. Hańba ta spada także na ich rodziny i na ich rodzinne wsie".

Społeczna nienawiść i bezwzględny terror, roztoczony nad jednostką, rodziną i wsią, urabiał duszę ukraińskiego żołnierza, którego niezawodnie mało przekonywały ideały wielkiej Ukrainy „od Uralu po San", państwowa niezależność i wyzwolenie braci spod rosyjskiego jarzma. Tą nienawiścią i tym terrorem usiłowano trzymać w polu wojującą ukraińską armię, — tę samą niezdrową strawę podaje się zdemobilizowanemu ruskiemu chłopu w powojenny czas spokojnej pracy i codziennego trudu. Próba wojenna wykazała nicość tej metody. W czas pokoju większe stąd i trwalsze mogą wyniknąć straty. O tym powinni pamiętać przewodnicy ukraińskich mas, utrzymujący je terrorem w posłuchu, — ci hodowcy społecznej nienawiści, którą w Polsce od dawna usiłuje się drogą ustawodawczą pozbawić jej istotnych podstaw.

—o—

Sojusznicy naszej opozycji...

„Oceniając dekret prasowy ze stanowiska niemieckiej grupy narodowej należy przypomnieć — piszą „Deutsche Nachrichten" organ Niemców w Polsce, — że swego czasu nie przypisywaliśmy np. ustawie o pasie granicznym tych skutków, jakie w praktyce dotknęły nas. Jeżeli ustawodawca zamierzał m. in. zmusić do milczenia niemiłą prasę opozycyjną, to my, jako mniejszość nie będziemy lekkomyślnie przechodzić do porządku dziennego nad interpretacją nowej ustawy, jeśli chodzi o zastosowanie jej wobec nas, by przebudzenie pewnego dnia nie byo dla nas zbyt okrutne. Prasa opozycyjna wzywa swych czytelników, by w przyszłości czytali między wierszami, gdyż inaczej nie będzie rzeczą możliwą wypowiedzieć swych przekonań. Myśmy zawsze woleli wypowiadać swoje zdanie otwarcie i dzisiaj pragniemy czynić to sami. Mimo to dobrze będzie, jeżeli nasi czytelnicy będą czytali gazetę, mając oczy otwarte i wyostrzą słuch na rzeczy nie napisane wyraźnie. W każdym bądź razie ważne jest jedno, mianowicie to, by niemieccy czytelnicy wytrwali wiernie przy swych dziennikach, gdyby miały nadejść trudne chwile.

W takich warunkach każdy rodak winien być nie tylko abonentem pisma, lecz także jego przyjacielem, któremu musi pomóc w ciężkich godzinach, by całość nie ucierpiała".

Tyle „Deutsche Nachrichten", or-

»Bogowiercy« w III. Rzeszy

Rodzice, którzy należą do N. S. D. A. P. i innych formacyj hitlerowskich, a którzy na skutek niemieckiej propagandy antykościelnej wystąpili z kościoła katolickiego lub ewangelickiego i wpisali w dokumentach pod rubryką „religia" — Gottgläubig — wierzący w Boga — zostali automatycznie zwolnieni z podatku kościelnego a zarazem został im wydany zakaz posyłania dzieci do pierwszej Komunii św. względnie konfirmacji.

W ten sposób w większej części szkół w III Rzeszy nauka przygotowawcza do pierwszej Komunii św. względnie do konfirmacji — została zaniechana.

Uderzenie to trafia również w ludność polską w Niemczech.

Plan gospodarczy min. Reynauda

(a. k.) Francuski minister skarbu Reynaud przedstawiając niedawno projekt trzyletniego planu gospodarczego, powiedział krótko: „Chodzi o to, aby uniknąć katastrofy!"

Istotnie Francja stała u progu bankructwa, jak pisał organ prem. Deladiera „Petit Parisien". I to nie tylko bankructwa gospodarczego, ale i politycznego, ku któremu prowadziły kraj eksperymenty i lekkomyślność Frontu Ludowego i p. Bluma.

Dekrety min. Reynauda przyszły pięć przed dwunastą. Przyszły niestety w momencie, gdy z hegemonii francuskiej na kontynencie pozostał już tylko... mit. Marksistowscy kierownicy republiki pozostawili rządowi Daladiera w spadku prócz olbrzymiego chaosu i rozprzężenia politycznego puste kasy państwowe. Całą ruinę gospodarki francuskiej przedstwia wstęp do 34 dekretów gospodarczych „rapport general".

Od 1936 r. spadła produkcja francuska o 25%, emisje akcji wyniosły w 1937 r. 1200 mil. fr., wobec 8300 mil. fr. w 1928 r. W tym też stopniu zmniejszyły się emisje obligacyj. W ciągu ostatnich trzech lat ceny we Francji wzrosły przeciętnie o 93%, koszty utrzymania o 43%, frank uległ dewaluacji o 60%, zapas zaś złota w Banque de France spadł o 45%. Aparat urzędniczy wzrósł niepomiernie. Same koleje stoją dziś wobec konieczności zwolnienia 40 tys. ludzi. Gdy dodamy do tego ów „błogosławiony" 40-godzinny tydzień pracy, będziemy mieli ledwie najgrubsze kontury stanu, który dziś przychodzi likwidować rządowi prem. Daladier'a. W okresie dwóch lat rządów Frontu Ludowego republika przeszła jeden z najgorszych etapów swego życia gospodarczego.

Tu też leży źródło zrozumienia, skąd we Francji, szczycącej się swoim liberalizmem, zrodził się pomysł ...planu gospodarczej i finansowej odbudowy.

Plan ten uwzględnia w pierwszej linii gospodarkę publiczną, która zbyt silnie zaciężyła na inicjatywie prywatnej. W rachubę wchodzi konieczność zrównoważenia budżetu w możliwie najkrótszym czasie. Na szeroką skalę zakrojony plan robót publicznych został poniechany. Wydatki nadzwyczajne zużyte zostaną na zbrojenia, bo — jak powiedział Reynaud — „potrzeba nam najpierw karabinów maszynowych a potem dopiero studni po miastach". Powyższe powiedzenie min. Reynauda uzasadni fakt, że podczas gdy niemieckie fabryki produkowały dziennie 38 samolotów, francuskie produkowały ich miesięcznie 40! Toteż jest jasnym, że każdy rząd, który poczuwa się do odpowiedzialności za losy Francji, który chce jej zaoszczędzić niespodzianek w stylu kryzysu czesko-słowackiego, musi dążyć do zmiany tego stanu rzeczy.

Plan Reynaud'a prócz sanacji finansów państwowych dąży do ułatwienia oszczędności, wśród szerokich mas. Nie zapomniano też o uregulowaniu stosunku kolei do samochodowej komunikacji, o wzmożeniu akcji budowlanej drogą podniesienia rentowności budynków.

Na największy jednak opór napotyka w opinii szerokich mas francuskich likwidacja 40-godzinnego i przywrócenie normalnego, 48-godzinnego tygodnia pracy. Niełatwo chce się wyrzec francuski robotnik tej „płatnej świętówki", a broni też uparcie wysokiej płacy godzin nadliczbowych. Modyfikacji podlega też sprawa płatnych urlopów, które w miesiącach letnich zastanawiały produkcję całych gałęzi przemysłu. Zasadą znów staje się 6-cio dniowy tydzień pracy.

Min. Reynaud obiecuje sobie powiększyć produkcję o 25 do 40%. W najbliższej przyszłości ma się rozpocząć olbrzymia rozbudowa floty powietrznej i marynarki wojennej i handlowej. Wielki przemysł wojenny winien w poważnej mierze zlikwidować brak pracy we Francji.

System rządzenia Frontu Ludowego drogą demagogicznych reform społeczno - gospodarczych został poważnie zagrożony przez plan Reynaud'a, którego dekrety są ratunkiem przed eksperymentami prowadzącymi do nieuchronnej ruiny.

Być może, że upadek Czech który tak głośnym echem odbił się we Francji, obudzi zdrową jej opinię, i zmobilizuje kraj do walki o dawną, utraconą pozycję w Europie.

—o—

Miłość wśród witraży

Jest w nas takie miejsce, w którym przechowujemy pamięć naszych umarłych. Jak w kartotekę wkładamy w nie z każdym rokiem nowe, czarne kartki, na których czas zamazuje zwolna spłowiałe podobizny, aż zostaną wreszcie sztywne litery imienia i nazwiska, z których wywietrzał sens.

W wielkiej duszy narodu są także miejsca, gdzie żyje kult jego zmarłych, będący moralną powinnością, jak powinnością jest uregulowanie honorowego długu. To kult poległych za naród żołnierzy. Niczym więcej, — ani odrobinę niczym więcej nikt nie jest w stanie wynagrodzić Im straconego życia ani tego, co zniesili, zanim zmogli cokolwiek przestali.

Któż to są ci polegli?

„Ci żołnierze to ludzie, zwykli ludzie. Nie wojownicy, przeznaczeni już z urodzenia do rzezi ludzkich, mordów i bitew; rolnicy, robotnicy, inteligenci oderwani od swych zajęć... Każdy z nich wie, że wystawić musi za chwilę głowę swą, pierś, żołądek, całe w ogóle ciało na szrapnele, granaty, kule karabinowe. Nie gwiżdżą na stratę życia, jak bandyci, nie oślepił ich szał dzikich... Jeśli nie ma w nich stalowego pierwiastka, w jaki fantazja przystraja bohaterów, to niemniej ofiara, którą ponoszą, jest wielka, — tak wielka, że nie zdołają jej nigdy pojąć ci, co przez to nie przeszli..."

Tak o nich pisze żołnierz frontowy, autor „Le Feu", najlepszej książki o wielkiej wojnie.

Megalomania szowinistyczna i jej pierworodek, nadęty hurra - patriotyzm nie lubią takiego gadania. Megalomania narodowa nie lubi szarych, wdeptanych w błoto trupów, z rysami trwogi w nieżywych twarzach. Dla niej polegli to bohaterzy z wojennego kalendarza, którzy mieli szczęście ponieść jakże piękną śmierć za ojczyznę. Każe się im przybierać patetyczne pozy Bayarda i przylepia do warg uśmiech wiecznej szczęśliwości.

Megalomania nie lubi uczyć się czegokolwiek od obcych. Dlatego będziemy mówić o obcych.

W klasycznym kraju kultu poległych, — we Francji, uczy się świat miłości tych, co padli. Pierwszy wieczny znicz nad ciałem nieznanego żołnierza zapłonął pod elektrycznym niebem Placu Gwiazdy w Paryżu. Francja podarowała ludzkości najpiękniejszy symbol, gorejący odtąd wśród oficjalnych wieńców we wszystkich stolicach.

Francja półtora miliona poległych nie zapomniała półtora miliona nazwisk. Nie zapomni ich nigdy. Na straży ich pamięci stoją jej niezliczone kościoły w każdym zakątku kraju, na każdej smutnej i wesołej wysepce, pod każdym równoleżnikiem kolonialnego imperium.

Kościoły Francji. O nich myślę zawsze, ilekroć myślę o Francji.

Rewolucja wykuła w ich murach patetyczny, spełzły napis: Liberté, Fraternité Égalité. Nim przestali w jego treść wierzyć krzykliwi trybuni ludowi, sczerniały rąbane w kamieniu słowa i zrosły się w jedno z domami bożymi. Kościół podniósł i przytulił zgubione w połowie drogi wyrazy, jak nie doniesioną receptę na szczęście.

Wielka wojna, która działowym ogniem druzgotała strzeliste mury katedry w Reims, wprowadziła do mrocznych naw francuskich kościołów wielkie plamy jasnych, marmurowych płyt, na których złocą się szeregi liter. To nazwiska mieszkańców parafii, poległych za Francję. Obok historyczne nazwy wielkich pól bitew i daty rozsypane na przestrzeni czterech lat, powtarzające się, jak „módl się za nami" litanii, zgęszczone wokół dni Marny i Verdun. Wyżej napis: „Aux enfants de la paroisse, morts pour la France".

W domach bożych kościoła, któremu żadn konkordat nie stwarza przywilejów, odprawia się nieustanne misterium narodowego nabożeństwa. Imiona dzieci parafii poległych za ojczyznę w najstraszliwszej wojnie dziejów mają do wrycia się w ściany poświęconych naw legitymację równą tej, która wynosi na ołtarze wizerunki świętych.

Widziałem dziesiątki kościołów na północy i południu Francji. Dziesiątki marmurowych tablic o złoconych głoskach.

Przedtem i potem widziałem dziesiątki kościołów polskich w miastach, miasteczkach i wsiach. Wszędzie, gdzie w szczerym polu samotniej biedne, żołnierskie krzyże.

Tyle o zmarłych, których pamięć trwa w kolorowym mroku witraży.

Są jeszcze żywi, lub umarli niezupełnie. Tragiczne nierozstrzygnięcia życia i śmierci, żałosne odpadki potwornego młyna nowoczesnej bitwy. Inwalidzi. —

W każdym kraju, który przeszedł przez wojnę, są inwalidzi pod opieką ustaw, zapewniających im renty, działki, warsztaty pracy. Każde państwo wypełnia w stosunku do nich swój obowiązek, spłacając częściowo dług zaciągnięty przez siebie lub przez innych. Państwo polskie ponosi ciężar wypłacania rent inwalidom czterech armii, nie licząc własnej. Z tą kwestią jesteśmy w porządku. Państwo winno płacić — i płaci.

Wdzięczność, wyrażona pieniądzmi, jest na ogół rozsądną formą wdzięczności w świecie, w którym toczy się walka o byt za pomocą pieniądza. Ale forma ta nie ma nic wspólnego z kryteriami etycznymi, dopóki mają one jeszcze jakiekolwiek znaczenie.

Wypada stwierdzić brutalnie: inwalidów zaledwie znosimy. Zawadzają nam wśród naszego zdrowego, uśmiechniętego świata, rażą nas niedostatkiem członków i sił, straszą nieprzyjemnie zmienionymi twarzami, które zrywają skurcze nerwowych szoków. Okazujemy im niechcący niechęć. Wolimy, gdy nie pchają nam się zbyt nahalnie w oczy. Wolimy już umarłych od ich niedoszłych kolegów. Są przynajmniej cisi i pochowani dobrze. Gdy się nie chce, można o nich nie myśleć, zapomnieć, — nigdy się sami nie upominają o pamięć i strzęp zdawkowej litości. Nie zawadzają w tramwajach...

Myślę znów o Francji, o dwu milionach jej rannych.

Pamiętam, jak siadłem raz w paryskim metro na nie zajętym miejscu, zdziwiony, że obok tłoczy się kilka osób, stojąc. Siedzący naprzeciw mnie robotnik grzecznie wskazał mi na cyfrę, umieszczoną na oparciu mej ławeczki a potem na napis na przeciwległej ścianie: „Les places numérotées sont reservées pour les blessés et mutilés de la guerre" (miejsca numerowane są zarezerwowane dla rannych i kalek wojennych).

Od tego czasu już uważałem. W metro, autobusach, tramwajach stałem uczepiony linki obok pustego miejsca, oznaczonego numerkiem, w towarzystwie kobiet, młodzieży i starszych panów o siwych brodach. Skłonni byli zignorować każdy zakaz dla zaznaczenia swojej wolności, zrobić na przekór każdemu napisowi. Ten jeden, rezerwujący miejsce siedzące kalece wielkiej wojny, — obserwowali milcząco.

M. Ż.

gan Jungdeutsche Partei. Inne pisma niemieckie w Polsce nie zabrały głosu na temat dekretu.

Zdawałoby się, że właśnie i przede wszystkim „Deutsche Nachrichten" zapatrzone we wzory niemieckie winny przyjąć dekret radosnymi pieniami. Tymczasem, „Deutsche Nachrichten" przygotowują się na ciężkie czasy, których nie dostrzegali nigdy w odniesieniu do prasy III Rzeszy, a w szczególności prasy polskiej w Niemczech, choć tam od dawna ma prasa „ciężkie czasy".

Niejasne jest takie stanowisko „Deutsche Nachrichten".

—o—

ZDARZENIA

TRZY DEKRETY

Ostatni miesiąc przyniósł nam szereg nowych dekretów P. Prezydenta Rzeczypospolitej, regulujących ustawodawstwo w sprawach, które niemal od początku trwania niepodległości były przedmiotem ożywionej dyskusji zarówno na terenie sejmowym jak i na forum publicznym. Wśród tych dekretów trzy zwracają szczególną uwagę ze względu na powagę spraw, których dotyczą, ze względu na popularność i aktualność zagadnienia, ze względu na pożytek państwowy z ostatecznego ich załatwienia.

Dekret prasowy był z dawna już celem westchnień prasy i społeczeństwa, pracowano nad nim również wewnątrz Rządu; wszyscy, — rząd, prasa i społeczeństwo zdawali sobie sprawę z konieczności ujednolicenia przepisów prawnych dotyczących prasy, po dziś dzień różnych w rozmaitych okolicach kraju. Sprawa miała jednak znaczenie nie tylko formalne: chodziło również o przystosowanie ustawodawstwa prasowego do aktualnych potrzeb narodowych i państwowych, o związanie organów i wyrazicieli opinii publicznej z dobrze pojętym interesem społecznym, o położenie kresu nadużyciom i przestępstwom przeciw dobru publicznemu i czci ludzkiej, które dotąd bądź uchodziły bezkarnie, bądź też uchylały się spod ostrzejszych sankcyj.

Ostatni dekret opracowany został pod kątem tych właśnie potrzeb. Można go nazwać ostrym i jest ostry w samej rzeczy. Zmusza dzienniki i dziennikarzy do szczegółowego i gruntownego zapoznawania się ze źródłami i wiarygodnością informacji, do poniechania niskich, brutalnych i oszczerczych metod polemicznych; poskramia rozwydrzenie opozycjonizmu nie liczącego się z żadnymi względami etyki obywatelskiej w swojej antyreżimowej akcji; wprowadza wreszcie zasadę osobistej i rzeczowej odpowiedzialności w miejsce ośmieszonej i z gruntu niemoralnej instytucji „redaktora od kozy", t. j. „redaktora odpowiedzialnego", normując tę odpowiedzialność znacznie zaostrzonymi sankcjami. Dekret jest w całym tego słowa znaczeniu surowy, ale — należy sobie z tego zdać sprawę — na tle współczesnej naszej rzeczywistości, w okresie poważnych kształtowań się siły wewnętrznej narodu, w pewnym stopniu słuszny i potrzebny.

Nowe ustawodawstwo prasowe dotyka biczem prawa tylko winnych i szkodliwych. Rzecz inna, że słuszność i pożytek tego prawa uzależni się w znacznej mierze od praktyki. W wypadku ostrych przepisów praktyka ich stosowania musi kierować się solidnie przestrzeganą zasadą ostrożnej sprawiedliwości. Ludzie, którym to zadanie przypadnie, winni być na to przygotowani, a nawet szczególnie dobrani i odpowiednio wprzód wyinstruowani. Najświętszy bowiem miecz w nieodpowiednich dłoniach stać się może narzędziem szkody i krzywdy.

*

Dekret o Kościele Prawosławnym załatwił sprawę bardzo poważną, bo dotyczącą blisko 4 milionów obywateli Rzeczypospolitej wyznania prawosławnego. Zagadnienie prawosławia w Polsce nie jest zagadnieniem czysto religijnym, wskutek bowiem specjalnego układu stosunków narodowościowo-politycznych zazębia się o najistotniejsze problemy całości i bezpieczeństwa Państwa. W okresie ostatnich dwustu lat było ono źródłem wielu wstrząsów, stało się jednym z najpoważniejszych pretekstów zaborczych dla Rosji, uzurpującej sobie rzekome prawo opieki nad polskimi dyzunitami, przez cały wreszcie wiek XIX stanowiło najpoważniejszy instrument akcji rusyfikatorskiej. Toteż jednym z pierwszych aktów państwowych polskich było dokonane w r. 1922 usamodzielnienie wyznania prawosławnego w Polsce, t. j. tak zwana **autokefalia**, znosząca zależność polskiego prawosławia od patriarchy moskiewskiego i tworząca osobny, krajowy kościół.

To formalne usamodzielnienie nie rozwiązało jednak kwestii całkowicie. Pozostał cały aparat, cała hierarchia z odrębną, rosyjską obyczajowością rytualną, obcą tradycją, niepolskim nastawieniem. W porozumieniu więc z metropolitą i biskupami greckiego obrządku czynniki państwowe zajęły się ułożeniem stałych norm prawnych dla wyznania prawosławnego, które by na stałe obowiązywały **Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny** w stosunku do Państwa. Wynikiem tych prac stał się dekret P. Prezydenta, czyniący z Kościoła Prawosławnego instytucję stojącą w rzędzie pozytywnych elementów polskiej konstrukcji publiczno-prawnej.

Statut, który z wydaniem dekretu wchodzi w życie, nawiązuje do starej tradycji historycznej prawosławia polskiego, tradycji metropolity Mohyły, księcia Ostrogskiego i Kongregacji Pińskiej, odróżniającej się od Moskwy konsystorskiej tak zwaną sobornością. Związuje się też w tym statucie hierarchię duchowną z życiem państwowym, konsoliduje się ją wewnętrznie, wreszcie też zapewnia się udział czynników świeckich w życiu organizacyjnym Kościoła. To wszystko będzie poważnym rusztowaniem, na którym oprze się dzieło całkowitej asymilacji elementu kresowo-prawosławnego do Polski.

*

Zabawa z masonami nareszcie się już skończyła. Dekret rządowy rozwiązał wszystkie loże wolnomularskie i pokrewne w Polsce, zakazując na przyszłość ich tworzenie i konfiskując ich majątek. Znikł w ten sposób z życia polskiego ten dziwaczny twór, z którego jedni podobno czynili sobie odskocznię dla osobistych, karierowych celów, drudzy zaś formowali zeń straszaki, strachy na wróble, nobilitując zwykłą, niemoralną zabawę do rozmiarów jakiegoś narodowego nieszczęścia.

Twierdzimy, że była to zabawa niemoralna, choćby dlatego, że niemoralną jest każda mania w życiu narodu, posiadającego swoje państwo, swoje życie, instytucje i prawa publiczne, swoją egzystencję na powierzchni rzeczywistości. Niemoralnym jest również neomasońskie pojęcie elity, polegające na dobieraniu się pod kątem pożytków oraz interesów jednostkowych pewnej grupy. Twierdzimy, że była to tylko „zabawa" z tego względu, że nie wierzymy a z nami nie wierzy prawie nikt rozsądny w Polsce, żeby w państwie zorganizowanym, jakim Polska jest od lat 12-tu, mógł decydującą czy zgoła poważną rolę odgrywać ktoś ukryty w podziemiach, ktoś w śmiesznym fartuszku i w śmiesznych emblematach, ktoś poza społeczeństwem, racją stanu i rządem. Niemniej dobrze się stało, że przyszedł koniec temu wszystkiemu, co z jednej strony obniżało powagę dyskusyj nawet parlamentarnych, z drugiej zaś stało się niebezpieczną bronią w rękach wszelakich szakali, żonglujących obelgą „masoństwa" z bestialskim brakiem umiaru. Masonerię można było tolerować tylko w jednym wypadku: gdyby udało się z niej uczynić instrument podporządkowany i pracujący dla polskiej racji politycznej na szerokim świecie. O tym myślał może Józef Piłsudski — jeśli wierzyć relacjom z rozmów z Komendantem Władysława Baranowskiego, jeśli przypomnieć sobie powierzenie misji w Lidze Narodów „wielkiemu mistrzowi" Aszkenazemu. Lecz jeżeli nie było na to sposobu i siły, — lepiej, że wolnych mularzy zlikwidowano.

Musimy sobie pozwalić jednak na pewną uporczywość: koniec z masonami, — świetnie, kiedy jednak położy się koniec innym mafiom, również, a może lepiej niż masoneria zakonspirowanym, nie posiadającym nawet pewnej tradycji niepodległościowej, jaką masoni bądź co bądź w Polsce mają. Co będzie? Dałoby się na ten przykład wiele powiedzieć o tzw. „obozie narodowym" i jego przybudówkach dzisiejszych i o dawniejszych praktykach „narodowców", które silnie zahaczają o podwoje... **świątyni.** Ale o tym innym razem.

*

GROZI NAM NOWA KULTURA

Italia i Niemcy zawarły ścisłą „umowę kulturalną", w której paragrafach ułożono nie tylko zwyczajną w takich razach „wymianę dóbr duchowych i artystycznych", ale też przyobiecano sobie z osobna i wspólnie hegemonię kulturalną nad całą resztą świata. Równocześnie postanowiono jako trzeciego wspólnika do tej hegemonii „przyszlusować"... Japonię.

Grozi nam więc nowa kultura — niemiecko-włosko-japońska z całym arsenałem pobocznych odnóży i odgałęzień kultury. Kultura nie taka jak te wszystkie, które dotąd świat ożywiały, promieniujące swoją ideową oraz artystyczną wartością, ale kultura z góry **przed powstaniem** wyciągająca łapę po hegemonię. Kultura Bóg wie czego, — może rasy, klasy, spożycia, — ale — na razie przynajmniej — nie kultura ducha. Można bowiem przyznać Niemcom i Włochom wiele korzystnych osiągnięć w zakresie budownictwa społecznego, w zakresie mobilizacji sił narodowych, nikt jednak z tych, co mają dobrze w głowie, nie wybierze się z uznaniem dla współczesnej twórczości kulturalnej obu tych państw. To, co Niemcy wniosły do kultury świata,— wniosły na długo przed III Rzeszą, to, co wniosły Włochy, było bardzo, bardzo dawno. Nowego **na razie** nic ani tu, ani tam nie widzimy.

Niemcom się tutaj nie dziwimy. Europa przywykła do tych „hegemonicznych" pogróżek od Barbarossy, poprzez Lutra aż do Hohenzollerna. Ale Italii — z jej odwiecznym poczuciem estetycznym, z jej świetną tradycją kulturalną, troszeczkę, troszeczkę... Bo jakże, — naprzód krzyczeć ,że się narzuci komuś **coś,** zanim się to „coś" stworzyło? Czy uczyniłby tak Marek Aureli, czy Dante, czy choćby nawet Papini?

A Japończykom powinien ten sojusz kulturalny z gwarancją na hegemonię bardzo odpowiadać. Po dumpingu przemysłowym, który zarzucił świat tandetnymi koszulami, zarzucą dumpingową kulturą. W ten sposób Europa nieco się zmongolizuje. Żeby zaś stop nabrał swoistości, proponujemy dołączenie do bloku czwartego aspiranta „hegemonistycznego": Rosji stalinowskiej z jej komenderowaną sztuką i zakłamaną kulturą. Br... Aż przykro o tym myśleć choćby śmiejąc się, jakże tu jednak się nie śmiać?

*

OSTROŻNIE Z DRUCIARZAMI!

Od szeregu lat rozmaite pisma i pisemka w Polsce używały sobie na temat „sympatii", „przywiązania" i „miłości", jaką nasi bardzo ubodzy sąsiedzi, Słowacy, obdarzają jakoby nas, Polaków. Jeżdżono do nich, oni do nas, w Zakopanem odprawiało się „pobratymcze" parady, nieboszczyk Hlinka wziął Wielką Wstęgę „Polonia Restituta", prasa polska roniła łzy rozczulenia, zaś pewien obłąkany tygodnik warszawski zapewniał, że Słowacy tylko czekają sposobności, żeby oderwać się od Czechów i przyłączyć do Węgier, wszystko z miłości i po to, by dogodzić Polsce. Wytworzyła się w ten sposób w naszej opinii publicznej jakaś niezwykła atmosfera pobłażliwości i sentymentu dla pasterskiej nacji, której najwyższą elitę intelektualną są... wiejscy proboszczowie.

Ta nacja potrafiła ostatnio, jak na pasterski lud przystało, należycie się odwdzięczyć „starszym braciom". I tak Słowacy: 1) Staneli przy Czechach twardo jak mur, warcząc groźnie na Węgry. 2) Rozpoczęli opętaną agitację antypolską pod zupełnie oficjalnymi auspicjami swojego „rządu". 3) Napadali czynnie na polską komisję, która bez broni i ufając przepisom międzynarodowego obyczaju udała się za kordon celem wyznaczenia granic odzyskanych przez Polskę okolic.

A nam tu kręcono głowę Słowakami i słowacką przyjaźnią przez tyle lat! Mamy jeszcze jeden przykład niewdzięczności małych tworów narodowych: po Łotwie, która za podarowany Dynaburg zrewanżowała się uciskiem mniejszości polskiej, — Słowaczyzna.

Inaczej i lepiej poszło z Litwą, która po okresie zrozumiałych u niedużego narodu przerostów ambicjonalnych siła państwa i narodu polskiego skłoniła do przyzwoitej regulacji stosunków.

POWRÓT MAURÓW

Owego słynnego dnia w Monachium „załatwiono" również Hiszpanię. Załatwiono sposobem „demokratycznym", t. j. stosowanym przez osławione demokracje Zachodu: wytargowano po prostu u führera i duce za cenę ustępstw środkowo-europejskich na rzecz osi pozostawienie Hiszpanii samej sobie, t. j. własnym kulomiotom, domowo - narodowemu zabijaniu się etc.

i SPRAWY

W samej rzeczy italscy legioniści wrócili niedługo później do ojczyzny, wspaniale witani, fetowani, zaszczyceni nawet defiladą przed Królem i Cesarzem, który wyjechał naprzeciw wracającym. Ale Hiszpania czerwona a z nią jej polscy, „demokratyczni" zwolennicy tak już przyzwyczaili się do wołania o pomstę do niebios na italskich i niemieckich w Hiszpanii wojowników, że tego faktu nie dostrzegli, czy też po prostu weń... nie uwierzyli. W dalszym ciągu biadają i twierdzą, że gdyby nie Włosi i Niemcy, „demokratyczna Hiszpania" zwyciężyłaby w „trzy miga". Naturalnie „demokratyczna Hiszpania" to komuniści, socjaliści i anarchiści — plus brygady międzynarodowe i legioniści rosyjscy.

Wrócili czy nie wrócili, wycofano czy nie, — w każdym razie nieszczęsna Italia krwawi się dalej. Stan wojny, z początku zapalny niezmiernie i wybuchający wielkimi działaniami bitewnymi, forsownymi marszami, głośnymi zwycięstwami i klęskami, przemienił się w permanentną, zagospodarowaną, wygodnie usadowioną, pozycyjną wojenkę z prawie normalnym życiem cywilnym, ze szkołami, kawiarniami, administracją i t. d. Tyle tylko, że tu Franco, tam Azana, tu czerwony sztanar, tam strzały falangistów, że tu sobie spokojnym kroczkiem staruszek na spacer, albo dziecko ze szkoły, a tam nagle trrrach... i bomba z samolotu.

Tyle tylko... Kiedy spojrzeć w historię i przeszłość Hiszpanii, trudno się oprzeć szalonemu, wprost paradoksalnemu wrażeniu: Hiszpanie nareszcie są szczęśliwi. Z tą swoją wojną domową, z bombardowanymi miastami, z setkami i tysiącami egzekucyj— szczęśliwi. Mają wojnę, która od tysiąca lat jest ich ukochaniem i żywiołem. pod ręką, na każde życzenie, na stoliku nocnym. Mają broń i mogą jej używać. Mogą być bohaterami i mają prawo patetycznie umierać. Ci Hiszpanie to straszliwy i dziwny naród: naprzód tłukli Maurów, później podzielili się na królestwa i walczyli prowincjami. Później wzięli się do zabijania heretyków i innowierców. Później poszli w Europę ucząc ją walczyć piechotą. Przez cały niemal XIX w. biją się w braku innego pretekstu o prawa do tronu dwóch linij burbońskich. Udało się im spokojnie przeczekać wojnę światową, za to odbijają sobie straconą okazję teraz. Umieją umierać jak nikt na świecie, mają to we krwi po muzułmanach;— kiedy żyją, to niżej europejskiego poziomu, kiedy umierają, — to jak bogowie. Tylko ten naród mógł wydać takiego Corteza, który wylądowawszy w Meksyku z paroma setkami żołnierzy, mając naprzeciw parę milionów uzbrojonych mężczyzn, zaczął swój pochód od tego, że wieszał każdego krajowca, który mu wpadł w ręce i tak doszedł do stolicy i tak bezgranicznym zuchwalstwem, pogardą życia i okrucieństwem podbił złoty Meksyk.

Znalazł się pisarz pewien we Francji, który twierdzi, że to Maurowie wrócili do Hiszpanii i stanąwszy przy boku Franco mszczą się za upadek Grenady; że czerwona Hiszpania reprezentuje nową Europę, a Franco średniowiecze arabskie; że to odblask, starcie kosmiczne dwu światów. To bardzo ciekawe, ale tylko... hipoteza. Literacka hipoteza. O tych Maurach, co wracają odbierać Iberię...

*

HANDLARZE W PRZEDSIONKU ŚWIĄTYNI

Nasi najmilsi, nasi abstynenci od wyborów, wybijacze szyb, czciciele Romana Dmowskiego, częstochowscy awanturnicy i rękoczynni reprezentanci zwyrodniałego antysemityzmu, — jednym słowem: endecy, zdradzają ostatnio „niezadowolenie" z niektórych dostojników hierarchii katolickiej, zwłaszcza zaś z Prymasa ks. kard. Hlonda. Na zebraniach Stronnictwa Narodowego padają nie tylko gorzkie refleksje na temat stanowiska kardynała wobec aktualnych zagadnień polityki wewnętrznej, ale też obelżywe okrzyki a nawet niejasne pogróżki aluzjonujące do losu kard. Innitzera z Wiednia. Naszym najmilszym, naszym dorocznym pielgrzymom do Częstochowy, pilnym obserwatorom masowych procesyj, podczas których można palnąć sobie okolicznościową, polityczną „zajawę", śmiesznym bigotom na pokaz, nie podoba się Prymas Polski, bo nie chodzi razem z nimi agitować przeciw wyborom, nie patronuje ich niechrześcijańskim praktykom, nie pozwala wciągać Kościoła w zaułek ich obłędnej, ślepo-opozycyjnej polityki. Tylko czekać, aż od rzucania bezsensownych choć ukrytych inwektyw i podejrzeń na ks. Kardynała przejdą do rosenbergowskiego wykładu o „truciźnie chrześcijaństwa".

Wiele czasopism polskich potraktowało tę akcję endecką jako curiosum, niespodziankę i dziwo. My natomiast zupełnie się temu wszystkiemu nie dziwimy. Trudno mieć jakieś wątpliwości co do szczerości katolicyzmu endeckiego, skoro się przyjrzy historii tej doktryny i tego obozu; zawsze wykorzystywali wszystko i wszystkich dla propagandy partyjnej, zawsze słowa i rzeczy wzniosłe ściągali na targowicę swoich brudnych sprawek, kupczyli świętościami i kupowali nimi naiwne dusze. Historia pamięta pierwsze, zgoła akatolickie, i wolnomyślicielskie kombinacje ideowe narodowej demokracji i jej wodza, pamięta kulisy późniejszej „mody" na katolicyzm i pozwolą nam współczesnym patrzyć na śpiewających godzinki pałkarzy co najmniej ze sceptycyzmem. Nie oni odbudują w Polsce myśl katolicką, tylko albo ta myśl ich odbuduje, albo katolicka Polska zostanie wśród nich pustym hasłem, nudnym frazesem partyjnego żargonu.

*

TARGI NA CMENTARZU

Rodzina St. Wacławskiego, który zginął tragicznie przed paru laty podczas bójek akademickich w Wilnie z rąk bojówkarzy-Żydów, — mieszka sobie cicho i spokojnie na wsi, w sanockiem. Są to małorolni chłopi, nie wiadomo nawet, czy piśmienni, przytłoczeni ciężką walką o byt, niewiele orientujący się w nurtach i sprawach szerokiego świata. Wiedzą tylko, że mieli jednego syna, w którego włożyli cały swój ubożuchny kapitał z wielu przepracowanych lat, żeby posłać go do szkoły i na Uniwersytet. Z tego uniwersytetu wyciągnięto chłopca na ulicę do bojówkarsko-politycznych rozgrywek i tam padł. Zostali tylko Wacławscy, biedni podsanoccy chłopi, pełni pewno zadziwienia, przerażenia i żalu.

Naokoło tych nieszczęsnych i żałosnych ludzi rozpętała się znowu orgia krętactw, oszustw i „sposobików" — rzekomo politycznych. Jacyś „przedstawiciele" młodzieży jeżdżą pod Sanok i tam od nieoświeconych biedaków wyciągają różne deklaracje, każą im podpisywać redagowane przez siebie obwieszczenia, łudzą obietnicami i t. d. Niedawno ukazał się w prasie list rodziców ś. p. Wacławskiego, wzywający studentów zupełnie słusznie do nieobchodzenia żałobnej rocznicy zgonu awanturami i bójkami na ulicach. W parę dni później „młodzież wszechpolska" wysłała jakiegoś innego „pełnomocnika" który Wacławskim powiedział, że tamten list to rzecz niestosowna i zażądał podpisania dwóch innych: w jednym właściciele paromorgowego gospodarstwa „zachęcają" i namawiają młodzież do dalszych walk o „wielką Polskę" w rocznicę śmierci ich syna, w drugim — „dziękują" endekom, że raczyli sobie z tej żałosnej trumny zrobić pretekst i herb pałkarstwa. Obydwa listy skwapliwie w prasie endeckiej wydrukowano, ogłaszając z triumfem, że tamci „nie wiedzieli", co piszą w tym swoim poprzednio ogłoszonym liście...

A czy teraz wiedzieli, proszę łaskawych panów? Przyjechał pan z miasta, wycyganił podpis, żeby inni panowie mieli zabawę. A tam w wileńskiej ziemi leży biedny trup chłopskiego dziecka, „Jasio, co nie doczekał", bo to było potrzebne endeckiej rozgrywce.

*

GDZIE NASZE KARPATY?

Polska jest państwem odwiecznie skazanym na czujność z dwu stron: wschodniej i zachodniej. Przedtem, kiedy nasi królowie aspirowali do władania skandynawskiego, mieliśmy jeszcze Szwecję od północy, jeszcze przedtem, w epoce muzułmańskiego „drangu" — Turcję od połudn.-wschodu. Ale nareszcie wszystko się ułożyło i skończyło na Niemczech i Rosji. Karpaty ostały się nam jak bezpieczny mur, spoza którego i tak nic nie groził. Tam mieliśmy albo przyjaciół, albo nieszkodliwe ludy pasterskie i rolnicze.

Dzisiaj rzecz się zmieniła. Niemców mamy już nie tylko od zachodu i północn.-zachodu, mamy już ich również za naszymi Karpatami, od południa. Na razie jeszcze nie dosłownie „Niemców", ale niemiecką penetrację, niemiecki napór i niemieckie apetyty. Mówi się już o rurociągu naftowym, który Niemcy mają zamiar przeciągnąć z Rumunii popod Karpatami do siebie; słyszy się o autostradach, które będą jakoby budować przez osławioną Karpatoruś. A i to, że Słowacy pozwalają sobie na ordynarne wystąpienia antypolskie, — pachnie robotą i natchnieniami niemieckimi, a i to przesilenie polityczne na Węgrzech również...

W tej sytuacji odnowienie paktu polsko-rosyjskiego stało się wprost koniecznością. Polska nie chce i nie ma zamiaru pomagać Niemcom w okrążeniu samej siebie, w **kolonizowaniu** tej części Europy, w której ulokowane są żywotne interesy polskiej racji stanu i polskich granic. Jeśli byliśmy zwolennikami sprawiedliwego załatwienia postulatów uciskanej **większości** niemieckiej w Sudetenlandzie, nie będziemy przypatrywać się bezczynnie, jak Niemcy, upojone zwycięstwem nad tchórzliwymi „demokracjami" i zwyrodniałą republiką beneszowską, wybierają się po „imperium europejskie". W tej części środkowej Europy Polska jest czynnikiem normatywnym i takim zostać musi, uzależniając swoją politykę nie od sympatyj czy antypatyj, lecz od możliwości **wspólnych porozumień we wspólnym interesie.**

Oto co możemy przeciwstawić Niemcom, upojonym łatwizną dotychczasowych zwycięstw.

DALADIER ZWYCIĘŻYŁ

Francja tymczasem przeżywała dni pełne naprężenia i oczekiwania: rozgrywał się bój o wielką stawkę, o rząd i nawet **régime**, między „monachijczykiem" Daladier'em a pragnącymi się odegrać żywiołami frontu ludowego. Podniecenie ogromne, prawie jak... na giełdzie, szanse dla obu stron niemal równe. Z jednej strony nieszczęsny premier dość zdepopularyzowany w kraju swoją ustępliwością wobec Niemiec, przezwany pogardliwie „monachijczykiem", zdecydowany na wszystko, nawet na ratowanie finansów Francji kosztem uderzenia po kieszeni skąpawych Francuzów, nawet na ratowanie spokoju państwa zredukowaniem blumowskich „zdobyczy" socjalnych, — z drugiej strony rozjuszona machina lewicy i zawodówek, z dawna oczekująca na pretekst do zwalenia rządu i wykorzystująca chwilę na uruchomienie swojej straszliwej broni — strajku generalnego. I jak zwykle: najnamiętniej ciskali się na Daladiera ci sami **tchórze**, socjaliści i komuniści, którzy najgłośniej wiwatowali, skakali i szaleli z radości na wieść o zjeździe w Monachium.

Daladier prezentował się w tych dniach mutatis mutandis jak młody Bonaparte na moście Arcole. Grzmiał, wznosił do nieba oczy i ręce, mobilizował, zagrzewał, groził i... walczył. Kiedy na komisji finansowej parlamentu wpłynął komunistyczno-socjalistyczny wniosek, podważający plan finansowy rządu, premier zagroził, że jeśli komisja przyjmie wniosek, on nie pojedzie z umówioną wizytą do Anglii. Komisja wniosek odrzuciła. Za to w celach zdecydowanie prowokacyjnych przygotowała lewica strajk generalny akurat na dzień 30 listopada, t. j. na dzień zapowiedzianej w Paryżu wizyty ministra v. Ribentroppa.

Strajk nie udał się. Front ludowy przegrał tę partię, w której pionkami były masy robotnicze, kolejarskie, nauczycielskie i urzędnicze. Pracownicy w dużej części posłuchali apelu, czy też przelękli się groźnej postawy premiera i stanęli do pracy. Jak wygląda w tej chwili „front ludowy", jak wygląda Blum, którego Henri Beraud w jednym z ostatnich numerów „Gringoire'a" pyta gromko: „Leon, gdzie twój paszport?" Pewnie tu chodzi o to, jaki ma „paszport" Leon Blum do mącenia spokoju we Francji, która jest dobrem Francuzów . Za to na innym miejscu w „Candide" zaprodukowano ów paszport: jest to stylizowana „karta karna" z Blumem

en face i z profilu z wyliczeniem wszystkich win, które przeciw Francji popełnił ten ménager francuskiej lewicy...

DLA P. HALLERA TO BYŁ... „ŚWISTEK"!

Czy dla narodu, który po wielu klęskach zwyciężył, może być coś droższego, jak dokumentarne pamiątki owych dni, które były największymi momentami jego zwycięstwa? Czy można nazwać narodowcem tego, który nie tylko że nie żywi dla takich pamiątek sentymentu i czci, ale ma do nich wprost nienawistny stosunek?

Pytamy o to siebie, pytamy sumienia, pytamy o to ludzkiej po prostu moralności, czytając pewien **passus** z ostatniego „Biuletynu" warszawskiego Związku Legionistów". Reprodukuję ten dokument następującej treści:

Rada Regencyjna
Państwa Polskiego.

ROZKAZ.

My, Rada Regencyjna Państwa Polskiego, zgodnie z odezwą naszą z dn. 11 listopada 1918, oznajmiamy wszystkim formacjom wojska polskiego Nam podległym, iż z dniem dzisiejszym władzę wojskową i naczelne dowództwo przekazaliśmy Brygadierowi Józefowi Piłsudskiemu.

Ogłoszenie niniejszego rozkazu poruczamy Szefowi Sztabu Generalnego.

Dan w Warszawie, 11 listopada 1918.

Podpisy: Kakowski, Lubomirski, Ostrowski.

„Biuletyn" opowiada dzieje tego dokumentu. Szef Sztabu Generalnego nie usłuchał Rady Regencyjnej i **rozkazu nie ogłosił.** Jak wiemy, nie wpłynęło to zresztą na rzeczywistość, która żadną miarą nie dała się wciągnąć w intrygę Pana Szefa. Ale nie koniec na tym. W latach 1923—25 „porządkowano" na rozkaz z góry archiwum wojskowe i jeden z urzędników znalazł ów dokument i pokazał go ówczesnemu szefowi S. G. gen. Stanisławowi Hallerowi, pytając o instrukcje. Wówczas pan generał rozkazał „spalić ten świstek".

Urzędnik nie usłuchał rozkazu i potajemnie przechował ów pierwszy dokument dotyczący przekazania władzy wojskowej Komendantowi. Dopiero niedawno ofiarował go Muzeum Belwederskiemu. Ale p. generała Hallera zapamiętają Polacy jako żałosny okaz upadku etycznego, do którego doprowadza zazwyczaj partyjna demoralizacja i śmieszna złośliwość.

DEUTSCHLAND CZY „OŚ" ÜBER ALLES?

Jedno z niemieckich pism na emigracji przynosi informacje o losie Niemców w tzw. „Südtirolu", należącym jak wiadomo do Włoch; informacje te są nie tylko rewelacyjne, ale mają wprost horendalny posmak, jeśli zważyć „oś" i głośną „miłość", która łączy w tej chwili państwo Führera z państwem Duce.

Żyje więc w tym Tyrolu około 250.000 Niemców w dość zwartej masie, nie mając nawet jednego deputowanego, który by mógł zabrać głos w ich sprawie i reprezentować wobec państwa ich interes. Cała ta masa ludzka nie ma ani jednej gminy nawet, w której Niemiec mógłby sprawować jakikolwiek urząd. Żyją tam członkowie „Herrenvolku" w niebywałym ucisku, mając do wyboru kryminał lub też wyrzeczenie się swojej niemieckości. Nawet za używanie języka rodzimego ściga ich się najrozmaitszymi karami. Za śpiewanie piosenek niemieckich dostaje się po 5 lat więzienia. Feruje wyroki specjalny trybunał faszystowski. Kiedy Mussolini w liście do Runcimana wołał o samostanowienie dla wszystkich możliwych mniejszości, prefekt w Bozen (stolica Südtirolu) **zakazał** miejscowej prasie przedrukowania tego listu.

Tak pisze „Deutsche Volkszeitung". Jest to sprawa wewnętrzna Włoch, jak radzi sobie ze swoimi mniejszościami i niewiele w gruncie rzeczy wzrusza nas los Tyrolczyków w zielonych szelkach i z gołymi kolanami. Co najwyżej może, a nawet powinien pomartwić się ich niedolą „wódz wszystkich Niemców" i jego dyplomacja „osiowa"; np. mógłby, tak po przyjaźni, poprosić Mussoliniego, żeby mu oddał ten „odwiecznie niemiecki" Land, albo przynajmniej, żeby pozwolił w nim Niemcom mówić po niemiecku. Nas to nie obchodzi, pytamy się tylko, po jakie licho Niemcy majstrują koło obcych sobie mniejszości narodowych w innych państwach, gdzie nota bene te mniejszości nie są wcale uciskane i korzystają z praw narodowych? Po co radio wiedeńskie i wrocławskie gada po ukraińsku, jeżeli jest tuż obok 250.000 Niemców w ciężkiej niewoli, którym nie wolno nawet rozmawiać w swojej **Sprache?** Chyba należy pomyśleć wprzód o sobie, później dopiero o innych, nie ma zresztą powodu do podejrzywania u Niemców czułostkowego... altruizmu. Albo, — albo nie „Deutschland über alles", tylko „oś über alles".

Na światło dzienne

Po 28 listopada 1938

Habemus Pappam! Mamy już nowy dekret prasowy, od lat zapowiadany i w błyskawicznym tempie zrodzony w przededniu zebrania się nowego parlamentu. W wielu dziedzinach dekret stwarza dla prasy zupełnie nową sytuację, ale na jednym odcinku — obawiamy się — wszystko pozostanie po staremu, choć tamta dziedzina, słusznie stajnią Augiasza zwana, dawno już domagała się w interesie moralności publicznej miotły i drakońskich zarządzeń.

Stajnią Augiasza, której fetory zatruwają nasze życie publiczne, są rozmaite wydawnictwa, przeważnie tygodniki, nic z prasą wspólnego nie mające, a jednak korzystające ze wszelkich uprawnień, jakie ma prasa i przyjmowane przez ogół społeczeństwa jako część składowa czasopiśmiennictwa. W każdej dziedzinie życia zbiorowego pasożytnictwo bywa surowo tępione i z miejsca likwidowane, albo bodaj rozpoznawane, ale na odcinku prasowym sytuacja przedstawia się odmiennie.

Rok temu premier gen. Sławoj-Składkowski wyraził się z najwyższym uznaniem o polskich dziennikarzach za ich wysoki poziom moralny i wielką odpowiedzialność, jaką wykazują przy pełnieniu swoich obowiązków zawodowych, ale dla niejednego przemysłowca czy kupca zdanie Premiera mogło wydawać się dziwne. On bowiem, tzn. ów kupiec czy przemysłowiec zetknął się w życiu z innymi też „dziennikarzami" i mógłby też coś innego o tym powiedzieć. Człowiek z ulicy nie interesuje się tym, kto jest dziennikarzem zrzeszonym, ak to raubritterem pióra, nie wie też, jaka jest różnica między pismem jednym i drugim. Dla niego wszystko ma na z e w n ą t r z pozory te same i formy te same. Dziennikarstwo zawodowe domagało się już od dawna zlikwidowania tego wrzodu, który ujmę przynosi samemu dziennikarstwu i w równej mierze życiu publicznemu.

Wyrażając się konkretnie — chodzi o powódź najrozmaitszych tygodników czy dwutygodników, poświęconych zwykle „sprawom społecznym", a żyjących z szantażu, żywiących się nie tym, co sprzedają, ale tym, o czym piszą, a właściwie tym, o czym nie piszą. Taki łotr, tytułujący się prawem kaduka redaktorem, zjawia się u pana X. po ogłoszenie, a jeżeli ogłoszenia nie dostanie, zapowiada ogłoszenie takich i takich rewelacyj. Zazwyczaj ten proceder udaje się, a zainteresowana osoba w wyjątkowym tylko wypadku zwraca się po pomoc policji. O tym, które tzw. czasopismo żyje z szantażu i tym podobnych interesów, władze zwykle dobrze wiedzą, ale jak dotąd konsekwencyj z tej wiedzy nie wyciągają i nikt nie żądał ani prawa zamykania takich pism, ani prawa karania „współpracowników" tych pism, zowiących się dziennikarzami i redaktorami. Na takie prawo w ciągu dwudziestu lat nie zdobyliśmy się, choć w Warszawie dobrze czynniki miarodajne znają ten gatunek niebieskich ptaków z policyjnych raportów i z wniosków organizacyj dziennikarskich. Nowy dekret prasowy, choć zaostrza kary za oszczerstwa, na tym odcinku n i c n i e z m i e n i a. I to jest dla ogółu dziennikarzy bardzo bolesne, a dla życia zbiorowego b a r d z o s z k o d l i w e

Drugą kategorią wydrwigroszów, żerujących na słowie drukowanym, są specjaliści od specjalnych wydań, jednodniówek, przewodników itd. Tego rodzaju wydawnictwa żyją z zbieranych w specjalny sposób ogłoszeń, a przede wszystkim z tego, że dane wydawnictwo w ogóle się nie ukazuje. Formalnie wszystko w porządku. Wydawca drukuje pewną ilość egzemplarzy, rozsyła wszystkim, którzy dali ogłoszenia i... na tym koniec. Wydawnictwa się nie kolportuje, zdając sobie sprawę z jego bezwartościowości, a zresztą wydrukowanie większej ilości druków kosztuje. Zamiast ryzykować druk, pieniądze z uzyskanych ogłoszeń chowa się do kieszeni, a wobec prawa taki typ jest w zupełnym porządku, bo wydawnictwo się ukazało. Ilość egzemplarzy i jego rozpowszechnienie to dla kodeksu sprawa drugorzędna.

Gdy więc weszliśmy w nową erę ustawodawstwa prasowego, gdy nakłady gazet zaczną spadać, jacyś aferzyści znowu może zechcą wykorzystać słabość ludzką do słuchania opowieści spod magla i puszczą w świat nowe efemerydy, obliczone na doraźny zysk i żerowanie na dobrym imieniu prasy. Uważamy, że przepisy wykonawcze do nowego dekretu prasowego powinny zawrzeć przepisy o l i k w i d a c j i wszystkich tych wydawnictw, które z czasopiśmiennictwem nic wspólnego nie mają. Przy współpracy z organizacjami dziennikarskimi sprawa ta mogłaby być krótką drogą i skutecznie raz na zawsze załatwiona. Rygory w tym kierunku spotkają się na pewno z jednomyślną aprobatą całego społeczeństwa. Byłyby to bezsporne walory dekretu prasowego. Na oczyszczenie prasowej stajni augiaszowej czekamy już lat dwadzieścia...

Hołd bohaterstwu Peowiaków

P. O. W. dało Polsce Armię

21 listopada br. odbyło się we Lwowie przemianowanie ulicy Kadeckiej na ulicę Peowiaków. Tablica z nową nazwą została wmurowana w budynek warsztatów tramwajowych. Ustawiono pod nią trybunę z wielkim emblematem P. O. W.

O godzinie 11-tej poprzedzane orkiestrą nadeszły poczty sztandarowe Związków Niepodległościowych i kombatanckich ze sztandarami P. O. W. i Związku Legionistów na czele. Orkiestra gra marsza; wśród zgromadzonych Peowiaków przybył w towarzystwie Prezesa Okręgu Związku P. O. W. mjr. dypl. L. Domonia gen. Karaszewicz-Tokarzewski, któremu d-ca kompanii honorowej składa raport.

Następnie przybył wojewoda lwowski Biłyk i przedstawiciele miasta.

Przewodniczący Okręgu P. O. W. mjr dypl. Domoń wygłosił z kolei przemówienie, w którym powiedział:

„Polską Organizację Wojskową stworzył Komendant Piłsudski we wrześniu 1914 roku tak jak wcześniej Legiony do walki o Polskę. Pierwszym d-cą mianował Komendant jednego z najbliższych swoich współpracowników, porucznika Legionów Polskich Tadeusza Żulińskiego, który później zginął śmiercią bohaterską a który tu we Lwowie jest wśród nas na zawsze.

Polska Organizacja Wojskowa ogarnęła nie tylko całą Polskę, ale sięgnęła daleko wewnątrz państw sąsiednich, prowadząc pracę konspiracyjną, ukrytą i rewolucyjną dla zdobycia niepodległości.

Wielka i wspaniała jest historia P. O. W. i długo by na ten temat można mówić, ale bezsprzecznie największym dziełem P. O. W. jest wypędzenie zaborców z Polski w roku 1918, a w koronie tego dzieła błyszczy przedziwnie, jak krwawy, przepiękny rubin — Obrona Lwowa. Obrona Lwowa z roku 1918 to najpiękniejszy po bitwie Warszawskiej a bezsprzecznie najpiękniejszy i najbardziej bohaterski czyn Narodu Polskiego — czyn, w realizowaniu którego Peowiacy odegrali zasadniczą, wybitną i decydującą rolę. Pierwszym żołnierzem, który padł w Obronie Lwowa, był podchorąży Andrzej Bataglia, — Peowiak.

Pokolenie nasze jest jeszcze młode

i ci, którzy żyją, a których tu jest wśród nas bardzo dużo, dobrze jeszcze pamiętają te czasy, te szare czy czy nawet słoneczne, jesienne, chłodne dni listopadowe 1918 roku, ten teren, który tu mamy przed sobą: Cytadelę, ulicę Pełczyńską, byłą ulicę Kadecką, Szkołę Kadecką, wzgórza i cmentarz Stryjski itp.

Wy to wszystko pamiętacie dobrze, Peowiacy, — Obrońcy Lwowa!

Nie można po prostu bez wzruszenia wspominać tych walk dzieci o Polskę, tych bohaterskich zmagań, tych dni Krwi i Chwały, które trwałyby chyba do ostatniej kropli polskiej krwi tu we Lwowie, gdyby znów nie żołnierz P. O. W., nie żołnierz Legionów, gdyby nie pułkownik Tokarzewski, który, jak powiedział Komendant Piłsudski, wbrew wszystkim i wszystkiemu przyszedł i Lwów oswobodził.

My Peowiacy nie potrzebujemy pomników, daliśmy Polsce wszystko, cośmy dać mogli, wszystko, na co tylko człowieka może być stać, a w zamian za to nie chcieliśmy i nie chcemy niczego — prócz jednego. Żądamy, aby idea czynu Piłsudskiego, idea P. O. W. i Legionów, idea, którą żyły wszystkie inne organizacje niepodległościowe, — była w Polsce ewangelią życia codziennego. Żądamy od Was, Kadeci, Żołnierze i cała Polska Młodzieży, abyście Wy lepiej niż my za Polskę walczyli, chętniej umierali, bo Wy jesteście naszym następcami, bo przyjdzie czas, że my Wam tę Polskę Piłsudskiego przekażemy, a Wy Ją przekazać musicie następnym pokoleniom i jeszcze silniejszą. A wszyscy musicie sobie zdać sprawę i pamiętać, że walka nie skończyła się, że walka o Polskę trwa. Ostatnio wygraliśmy wielką bitwę nad Olzą, bitwę, która toczyła się blisko 20 lat, bo od 23 stycznia 1919 roku.

A czy myślicie Obywatele, że Obrona Lwowa i Małopolski Wschodniej już skończyła się? Nie! Tu toczy się nadal walka, której tragizm polega na tym, że wydaje się, jakby reszta Polski jej nie znała, lub nie chciała znać — nie zrozumiała, lub nie chciała zrozumieć.

Wielkiej mocarstwowej Polski bez Małopolski Wschodniej być nie może, wszystkie filozoficzne i normalizacyjne sposoby zlikwidowania tej sprawy zawiodły, a siłą, która może ten stan zlikwidować, jest jedynie jednolita postawa całego zjednoczonego społeczeństwa polskiego.

Sprawiedliwości dziejowej musi się stać zadość, musimy Narodowi Polskiemu wrócić dusze polskie, krew polską i ziemię polską, bo były one tu zawsze polskie, bo Polacy przyszli w zamierzchłych czasach, kiedy tu w Małopolsce Wschodniej było tylko niebo i ziemia niczyja. I tylko w ten sposób raz na zawsze upadnie to zagadnienie, ustąpi ta niepewność i obawa utraty tych ziem, odpadnie ta możliwość, która zawsze będzie nawet przy wiekowej jak najdalej posuniętej lojalności współmieszkańców w stosunku do naszego Państwa.

Ta ziemia była, jest i musi być polską.

A więc Obrona Lwowa i Małopolski Wschodniej nie skończyła się, ale właśnie tym bardziej potrzebne są tu pomniki wielkich polskich czynów.

Tym pomnikiem jest nasza niezwyciężona ukochana Armia, o której Komendant Piłsudski tu, we Lwowie 7 sierpnia 1923 roku powiedział:

„Początek Armii Polskiej i początek jej organizacji opierał się nie na czym innym, jak na Polskiej Organizacji Wojskowej“.

Przemówienie swe zakończył mówca okrzykiem na cześć Armii Polskiej, Naczelnego Wodza i Komendanta Głównego P. O. W. Marszałka Śmigłego-Rydza, oraz polskiego Lwowa.

Po odśpiewaniu przez chór Kadetów „Bogu Rodzica Dziewica“ przemówił imieniem Żołnierzy b. lwowskiej kompanii Peowiackiej dr Mieczysław Smerek z m. Łodzi, kreśląc dzieje tej kompanii i historii jej walk o Lwów. Kompania liczyła w chwili rozpoczęcia walk o Lwów 100 żołnierzy w wieku do 18 lat, przeważnie młodzieży gimnazjalnej i w takiej sile mniej więcej zjawiła się na placu boju. Bilans strat wynosił 30 zabitych i zmarłych z ran. Przemówienie swoje zakończył dr Smerek okrzykiem na cześć Ziemi Czerwieńskiej.

Z kolei wśród dźwięków Hymnu gen. Tokarzewski, witany owacyjnie, odsłania tablicę, po czym długo salutuje.

Po zakończeniu uroczystości p. Generał odjechał żegnany przez zgromadzoną publiczność entuzjastycznymi okrzykami.

Na trybunę wszedł raz jeszcze mjr. Domoń, dziękując Kadetom, Żołnierzom, Młodzieży szkolnej i rzeszom publiczności za udział w uroczystości.

Kultura polskiego Lwowa

O mój rozmarynie...

Kronikarz lwowskiej kultury podobny jest temu, co „chodzi po świecie — zbierając złe i dobre rzeczy“. Miasto, jak to miasto — ludne jest, różne w każdym niemal atomie swoich potrzeb i nastroju, należy mu się więc wszystkiego potrosze, trzeba mu dać z każdej beczki popróbować i posmakować. Nie sposób wszystkiego zarejestrować, — owych filmów nowych cisnących się na afiszach, owych przedstawień, odczytów, koncertów... Wspomina się te rzeczy, które coś przyniosły z sobą, złego czy dobrego, które nauczyły, zainteresowały, rozśmieszyły, oburzyły w ten sposób, że warto je podać jako przykład lub ostrzeżenie.

W teatrze wybiła właśnie „Gałązka rozmarynu“ Nowakowskiego pięćdziesiąte przedstawienie. Pięćdziesiąt przedstawień we Lwowie to już sukces ogromny, zresztą zasłużony, nie tylko może przez talent dramatopisarski Nowakowskiego, ile przez tegoż pisarza rozgłos feljetonistyczny oraz przez dobór tematu o dużym scenicznym wdzięku. Z aktorów pokazał się w „Gałązce“ najlepiej młody Węgrzyn. W listopadzie przybyła do repertuaru „Zakochana królowa“, bliżej dotąd nieznana we Lwowie operetka, w miarę melodyjna i sensacyjnie obsadzona w głównej roli przez Mery Didur-Załuską. Artystka ta, jako Didur, bardzo dobrze śpiewała, jako Załuska spowodowało kilkunastu widzów do ukazania się na premierze w smokingach, czy też nawet frakach; ani jednego takiego stroju nie dostrzegliśmy na przedstawieniach dawanych tu niedawno przez największego aktora polskiego, Stefana Jaracza.

Rozgłośnia lwowska Polskiego Radia w początku realizacji tzw. zimowego programu zaprosiła lwowskich pisarzy i prelegentów na wspólną konferencję. Przedstawiono na niej ustalenia i zamierzenia programowe na sezon najbliższy, przy czym wyszło na jaw, że udział regionu lwowskiego w zasięgu ogólno-polskim jest wprawdzie dodatni, niemniej jednak nienależyty. Słyszeliśmy tam z ust przedstawicieli Polskiego Radia o całych cyklach audycyj przygotowywanych na temat żywotnych problemów rozmaitych regionów państwa, — uwzględniono Śląsk, Pomorze, Wielkopolskę, — mówiono o reportażach monstre stąd i stamtąd, nie obiecano jednak niczego podobnego dla Lwowa i ziem południowo-wschodnich; jakby to nie o nich należało, ze względu na ich wyjątkową sytuację, przede wszystkim informować cały naród! Wynikało z tego wszystkiego, że w dalszym ciągu nasze miasto będzie dostarczało „popularnych“ i „najweselszych“ audycyj „słowno-muzycznych“, owych rewij czy fars, popisów piosenkarskich, radiowych kabaretów itp. Rzeczy to niewątpliwie w programie radia „dla wszystkich“ konieczne i niewątpliwie też dobrze się je w lwowskiej Rozgłośni robi, niemniej jednak miastu naszemu „dość już tej żenującej chwały „najweselszego grodu“ i „drugiego Wiednia“. Dość mamy tego, że gdziekolwiek w Polsce mowa o Lwowie, słyszy się: „Ach Szczepko i Tońko...“ lub też: „Wasza Wesoła Fala...“ To omyłka, to przesada, to krzywda: Lwów jest zdolny dać Polsce nie tylko uśmiech i piosenkę; tu jest uniwersytet, tutaj są uczeni i artyści, tutaj się tworzy, buduje, walczy... I o tym przede wszystkim chcemy — i mamy prawo powiedzieć!

Niestety nie zostało to powiedziane nawet na... konferencji przy czarnej kawie. Kilkunastu czy kilkudziesięciu bonzów siedziało i roztrząsało pozornie tylko zawiłe zagadnienia estetyczne, — na przykład stosunek słuchowiska do dramatu scenicznego, czy problem poezji przed mikrofonem — gęsto przetykając wynurzeniami sentymentalnymi pod adresem Polskiego Radia; jeden z nich nawet w zapale nazwał referentów lwowskiej Rozgłośni „źródłem, skąd płynie zdrój natchnienia“... To źle. Referenci, nawet w Radio, rzadko bywają źródłami natchnienia, a rzeczą pisarzy jest bronić istotnej treści wewnętrznej i prawdziwego wyrazu twórczego własnej okolicy.

*

Ale nie samo tylko „złe“ nazbierało się po świecie... W ubiegłym tygodniu słuchaliśmy w Kasynie i Kole Literacko-Artystycznym odczytu Teodora Parnickiego o humanizmie we współczesnej literaturze katolickiej. Dla społeczeństwa, dla szerokiej publiczności, która nie ma okazji stykania się z wartościową i głęboko pojmowaną myślą katolicką, dla ludzi, którzy ideologię chrześcijańską poznają z przesadnie klerykalnych wydawnictw, bądź też z endeckiego „wykładu“, była to naprawdę znakomita sposobność. Parnicki, pisarz z przekonania i twórczości par excellence katolicki, obdarzył słuchaczy bogactwem bardzo głębokich spostrzeżeń, zarysował obraz idei humanizmu chrześcijańskiego, jedynej, która w dzisiejszych czasach, w zgodzie z prawem naturalnym i interesem społecznym broni wolności jednostki; udowodnił wartość i słodką niewolę Chrystusowej dyscypliny moralnej; przekonał, że prawdziwy katolicyzm nie jest udziałem tych, którzy depcą, znieważają i terroryzują człowieka, ale tych, którzy widzą w ulepszeniu się wewnętrznym jednostki ludzkiej jasną przyszłość i podstawę bytu zbiorowego. Po prostu oznaczył miejsce i wartości ideologii katolickiej jako szczyt filzofii moralnj i rozwoju duchowego.

Nistety, słuchaczy na sali nie bardzo było dużo. Przewaga ogromna kobiet i trochę młodzieży. Zresztą nie tylko na tej prelekcji, — odczyty czwartkowe Kasyna nie cieszą się na ogół tą frekwencją, na którą w całej pełni zasługują. Ten fakt stanowi jeszcze jeden przyczynek do zjawiska ciągłego cofania się i osłabienia nurtu kulturalnego, niegdyś w naszym mieście bijącego żywiej niż gdziekolwiek.

*

Inna rzecz, że poważną przyczyną tego osłabienia zainteresowań kulturalnych u publiczności jest pewnie inflacja twórczości, rzekomo artystycznej i quasi kulturalnej. Onegdaj oglądaliśmy na mieście pokaźne afisze, zapowiadające „wieczór autorski“ p. Eustachego Ścibor-Rylskiego w salach Hotelu George'a, przy akompaniamencie muzyki i słowa wstępnego. Trudno nam było z początku zebrać jakiekolwiek dane o osobie tego autora, nie znają go bowiem ani polskie pisma literackie, ani krytyka fachowa, ani ustna tradycja środowiska pisarskiego. Myśliśmy zrazu, że to jakiś młody adept-debiutant, okazało się jednak, że liczy już sobie dobrych kilkadziesiąt lat „pracy“ literackiej i że zasługuje na szacunek siwymi włosami. Zapoznaliśmy się również z kilkoma, drukowanymi nader wytwornie, zbiorkami jego poezji. Okazało się z tej lektury, że wiersze jego są złe, sam natomiast p. Rylski uprawia pisarstwo jedynie na marginesie swojego istotnego zawodu; jest bogatym ziemianinem mieszkającym na wsi. Rzecz jasna, że każdemu wolno pisać z ł e wiersze, ale nie trzeba do ich słuchania ściągać ludzi afiszami, jeśli przez tyle lat ani krytyka, ani czytelnik nie chcieli słyszeć o ich autorze. To szkodzi kulturze i sztuce, to pozbawia konsumenta zaufania do poezji, zwłaszcza w czasach, kiedy p r a w d z i w y m poetom nie starczy nieraz pieniędzy na wydanie swoich tomów... własnym kosztem.

W samej rzeczy: nie jest ważny natłok „imprez kulturalnych“ ale ich dobór, smak i wartość. Lepiej jedna dobra w niedzielę, niż byle jakie przez cały tydzień.

m.

Dr H. J. R.

Amoralna książka o amoralnym narodzie

Artykuł porusza zagadnienie „moralności" brytyjskiej w sposób ciekawy, ale nieco jednostronny. Rzecz do dyskusji.
Red.

Gdy prasa całego świata przeżuwa dzień w dzień potrawkę monachijską w sosie Chamberlaina, wpadła w moje ręce fascynująca książka, która powiedziała mi o „starszym panu z parasolem" o wiele więcej, niż zrobiłyby to najbardziej sensacyjne rewelacje dyplomatów. Nie były to żadne niedyskrecje, ani w ogóle rzecz o Monachium, ale książka Anglika o Anglikach, pamiętnik pilota wojennego, dzieło dające w niesfałszowanej, bo pamiętnikarskiej formie, świetny obraz mentalności angielskiej *). Ta właśnie fotografia psychiki angielskiej sprawia, że książka, omawiająca wydarzenia wojenne i grubo przed „Monachium" napisana, stanowi dziś dla każdego, kogo wydarzenia międzynarodowe i sposób reagowania Anglików interesują, — niezastąpione vademecum. Angielska nonszalancja, a m o r a l n o ś ć i chęć zawładnięcia całym globem przy szermowaniu hasłami... pacyfistycznymi uwydatniają się w tym pamiętniku nader plastycznie, choć dzieje się to mimo woli, gdyż autorowi chodziło w pierwszym rzędzie o autentyczny pamiętnik jednego z pierwszych lotników, jakich niewiele ma literatura wojenna.

Autor tej niezrównanej książki Cecil Lewis nie stroi się w piórka bohatera. Opisuje nie tylko chwile upojenia triumfem, ale i chwile słabości. Nie upiększa uczuć i przyznaje się do takich myśli, jakie gdzie indziej uchodziłyby w pamiętniku żołnierskim za niedopuszczalne. Jedyne tylko uczucie nie opuszcza autora przez cały bodaj czas: flegma i dobry humor.

Oto opisuje, jak to nagle dziesięć bombowców niemieckich dotarło do Londynu i zrzuciło nad miastem „wybuchowe jajka". Oburzenie Anglików było ogromne, bo... Anglia była jak zwykle zupełnie nie przygotowana. Miejscowe urządzenia przeciwlotnicze nie posiadały żadnej wartości. Cały dywizjon lotniczy niemiecki wrócił spokojnie w komplecie do domów. W prasie powstał gwałt — cytuję dosłownie — co za skandaliczne zaniedbania obrony ukochanej, starej Anglii! Interpelacje w Izbie Gmin, panika między politykami, Lloyd George jak zwykle przejawiał błyskawiczną działalność, skutkiem której odwołano dla ochrony kraju wyborową eskadrę myśliwską z frontu. I oto dwunastu oszalałych z radości pilotów eskadry 56 pakuje na tydzień zapas bagażu do kabin samolotów. „Kochane, stare, niemieckie bombardujące maszyny".

Nie tylko mentalność angielskich lotników pozostała po dziś dzień taka sama, ale gdy czyta się o nieprzygotowaniu Anglii do obrony powietrznej, wydaje nam się, że wypadki rozgrywają się nie przed dwudziestu laty, ale przed naszymi oczyma. Jak mało w tej Anglii się zmienia...

Kilka wierszy dalej przekonujemy się znowu o wiecznie tej samej mentalności Anglików. Patriota Lewis, który dobrowolnie zaciągnął się do służby, nie oburza się na Niemców za zbombardowanie Londynu, ale twierdzi, że gdyby sprzymierzeni rozporządzali w 1917 roku odpowiednimi samolotami, byliby bombardowali Berlin bez żadnych wahań. Ponieważ maszyn takich nie mieli, odpowiedzieli tylko „oszalałym wybuchem propagandy". Ponadto zrzucali na miasta na tyłach wojsk niemieckich co najmniej 100 bomb w zamian za każdą zrzuconą na Londyn.

Tego rodzaju ustępów w książce jest więcej. Mówią one o psychice angielskiej tak wyraźnie, że gdyby wydać tę książkę bez nazwiska autora, każdy znawca psychologii orzekłby bez wahania, że tak napisać mógł jeden chyba Anglik, bo żaden naród podobnie nie myśli. Ten sam autor przyznaje też bez żenady, że po zawieszeniu broni on jako zastępca dowódcy eskadry pierwszy otrzymał urlop i wyjechał z kraju, a w dwa tygodnie później miał już posadę w lotnictwie cywilnym dzięki audiencji u swego generała. Powie ktoś może, ten sposób pisania świadczy o wielkiej szczerości, twierdzę jednak, że pisanie jest procesem wtórnym, następującym po d z i a ł a n i u, a działanie owego Anglika i setek jemu podobnych zarówno dziś, jak i przed dwudziestu, a nawet przed dwustu laty, było z a w s z e a m o r a l n e. Pod tym względem prymat Anglii jest niezaprzeczalny. Nawet jeżeliby przestała być królową mórz, nie zejdzie z pierwszego miejsca jako naród bez moralności, naród żyjący w kręgu swoich polowań, wyścigów konnych, meczów i... puddingu. Aha! Byłbym zapomniał. Bez whisky and soda nie byłoby też Anglika. Angielska mentalność przeżarta jest wygodnictwem. Izolowani na swojej wyspie myślą tylko o sobie i możliwie bezbolesnym dla siebie panowaniu nad całym światem. Wystarczy jednak mocniejsze słówko, a dym ulatniający się z wytwornego cygara rysuje w powietrzu słowa: „splendid isolation". Na dzikim Zachodzie określano dawniej podobne uczucie jako... tchórzostwo.

—o—

*) Cecil Lewis: Pod szczęśliwym znakiem. Nakładem Roju. 1938.

O narodowy front pracy

Szerokie masy społeczeństwa polskiego dojrzały do pełnej konsolidacji. Świadczą o tym już nie tylko historyczne dni Zaolzia, kiedy to zjednoczony duchem naród stanął jak jeden mąż przy boku Naczelnego Wodza, oczekując jego rozkazów. W niemniejszym stopniu dowodem tego jest przebieg kampanii wyborczej, w której wzięły udział wszystkie patriotycznie usposobione i uświadomione elementy — z wyjątkiem garści zacietrzewionych partyjników i sporej rzeszy ludzi biernie zachowujących się wobec wszelkich przejawów życia państwowego.

Ta „konsolidacja wyborcza" szczególnie silnie uwydatniła się wśród mas robotniczych. Spośród 7 istniejących Central Zawodowych dwie tylko (socjalistyczny Związek Stowarzyszeń Zawodowych i endeckie Zjednoczenie Zawodowe „Praca Polska") zdecydowanie opowiedziały się za bojkotem wyborów — nadomiar zaś hasło tego bojkotu „zbojkotowane" zostało przez sporą liczbę ich członków.

Na tle wyborów sejmowych zaobserwowaliśmy nadto zjawiska o głębszej jeszcze wartości pozytywnej. Oto mianowicie doszło przy tej okazji do manifestacyjnych wystąpień kilku central ruchu zawodowego, akcentujących jedność założeń ideowych i wspólnotę programowych dążeń. Najznamienniejszym bodaj zjawiskiem była tu wspólna odezwa przedwyborcza, podpisana przez takie Centrale, jak Zjednoczenie Polskich Związków Zawodowych, Zjednoczenie Zawodowe Polskie i Chrześcijańskie Zjednoczenie Zawodowe. Jest to odezwa, której poszczególne akcenty wybiegają w swej treści poza wymogi koniunkturalnych, taktycznych sojuszów.

Nic w tym dziwnego, jeśli zważyć, że trzy powyżej wymienione ugrupowania zawodowe wyrastają właściwie z jednego pnia ideowego, jakim jest wsparta o sprawiedliwość społeczną — w rozumieniu katolickiej etyki — idea narodowa, że w „dołach" wszystkich tych organizacyj nurtują te same prądy, w identyczny sposób kształtuje się światopogląd szarej masy członków i zwolenników.

W tych warunkach żadna poważna przeszkoda nie stoi na drodze do pełnego i trwałego zespolenia wysiłków organizacyjnych tych central ruchu Zawodowego. Bo przeszkody pozostają właściwie dwie: drobne obciążenia więzów formalnych i drugorzędne kwestie personalne, jakże łacno dające się usunąć przy wspólnej dobrej woli. Że zaś tej dobrej woli nie brak u wszystkich partnerów, świadczą liczne akcje, podejmowane wspólnie nie tylko w okresie wyborów do parlamentu, ale i w toku bieżących prac zawodowych i społecznych.

Że konsolidacja na tym odcinku przyniosłaby bardzo wiele pożytku, to już dla ogółu jest bezsporne.

W pierwszym rzędzie nastąpiłoby usunięcie tak szkodliwych dla mas robotniczych skutków rozbicia ruchu zawodowego. Rozbity organizacyjnie świat pracy nie może sobie wywalczyć należytego poszanowania praw. Co więcej — na rozbiciu tym żerują rekiny kapitalistyczne i niejednokrotnie partyjni politykierzy, sprytnie wygrywając — ze szkodą dla ogółu pracujących sztucznie podtrzymywane różnice.

Zespolenie wymienionych Central stworzyłoby w rezultacie potężny narodowy front pracy. By zdać sobie sprawę z jego możliwości, należy przypomnieć, że Z. P. Z. Z. liczy około 150 tys. członków, Z. Z. P. około 200 tys., Ch. Z. Z. około 65 tys. W podsumowaniu daje to armię, liczącą ponad 400 tys. członków, która samym parciem masy zaważyć musi na biegu życia publicznego.

Powstanie takiego frontu jest niezbędne w obliczu rozwoju ruchu klasowego. Socjalistyczny Związek Stowarzyszeń Zawodowych — stanowiący zresztą mozaikę narodowościową przy olbrzymim zakresie wpływów żydowskich — posiada trzystakilkadziesiąt tysięcy członków i zwolenników (t. zn. członków nie płacących składek). Podminowany fołksfrontowymi apetytami ruch klasowy uprawia niejednokrotnie formalny teror wobec „opornych" pod względem ideowym. Nieraz przecież słyszeliśmy o strajkach, organizowanych przez socjalistycznych menerów pod hasłem pozbawienia pracy robotników o odmiennych przekonaniach.

Wskazujące na konieczność konsolidacji zawodowej racje mnożyć można jeszcze dalej. I te, które przytoczono, wystarczają dla stwierdzenia, że aktualny stan trwać dłużej nie powinien.

Rozmowy nad doprowadzeniem do skutku narodowego frontu pracy, w którym znajdą się ugrupowania zawodowe o obliczu narodowym, trwają ponoć od pewnego czasu. Oby doprowadziły one jak najszybciej do pomyślnych wyników. *(eb)*

—o—

Życie kulturalne ziem wschodnich

Wołyńska nagroda literacka Liceum Krzemienieckiego. Począwszy od roku 1939 Liceum Krzemienieckie w porozumieniu z Polską Akademią Literatury ustala *Wołyńską nagrodę Literacką*, która będzie przyznawana autorowi, pochodzącemu z kresów wschodnich, czy też z innych ziem Polski za dzieło związane z życiem, obyczajem lub historią ziem wschodnich. Nagroda przyznawana będzie za dzieło literackie, ale może być także przyznane za dzieło historyczne o walorach literackich. Nagroda będzie opiewać na sumę 2000 zł i wręczona będzie w dniu święta licealnego — 27 maja. Pierwszy raz nagroda ma być wręczona podczas uroczystości krzemienieckich, związanych z dziewięćdziesięcioleciem śmierci Juliusza Słowackiego — 4 września 1939 roku.

Nagrodę przyznaje sąd konkursowy, złożony z 7 osób, do którego wchodzą przedstawiciele P. A. L-u, Wydziału Sztuki Ministerstwa W. R. i O. P., Wojewody Wołyńskiego, Kuratora Okręgu Szkolnego Wołyńskiego i Liceum Krzemienieckiego.

Krzemienieckie wieczory dyskusyjne. Wieczory dyskusyjne w Krzemieńcu, organizowane przez Sekcję kult.-oświatową Zjednoczenia Organizacyj Społecznych, są niepoślednią wartością w życiu kulturalnym Krzemieńca. Prelegenci — bądź z miejscowych ludzi, bądź zapraszani z innych ziem Polski — zaznajamiają uczestników wieczorów z zagadnieniami i dorobkiem rozmaitych dziedzin ducha ludzkiego, przy czym rozpiętość tematów — jak zainteresowań — jest niezmiernie duża. Mówi się więc i o malarstwie nowoczesnym i o roli samorządu na wsi, o literaturze i kwestiach narodowościowych — uwzględnia się potrzeby aktualne. Społeczeństwo krzemienieckie licznie przybywa na wieczory, dając tym dowód, że istnieje potrzeba tego rodzaju wymiany myśli. Różnorodność tematów spowodowana jest wyczuciem aktualnych, żywych lub szczególnie interesujących tematów, przy czym nie można postawić zarzutu dyletantyzmu — prelegentami bywają tu niejednokrotnie profesorowie uniwersytetów, a zawsze znawcy w danym zakresie.

—o—

Kronika Rady Związków Niepodległościowych

Zarząd Okręgu Zw. L. P. Lwów

(A. W.) W dniu 27 listopada 1938 r. odbyło się posiedzenie Zarządu Okręgu, któremu przewodniczył prezes Okręgu dr Bronisław Wojciechowski. W zebraniu uczestniczył Wojewoda Lwowski Biłyk Alfred, który w czasie obrad kilkakrotnie zabierał głos.

Przedmiotem obrad były bieżące sprawy organizacyjne oraz wyświetlenie i zajęcie stanowiska w związku z ostatnimi wyborami do parlamentu.

Wyczerpująco sprecyzował przebieg wyborów do parlamentu prezes Okręgu dr Bronisław Wojciechowski, podkreślając osiągnięte wyniki przy wyborach, w których Obóz Zjednoczenia Narodowego uzyskał pełny sukces. Następnie omówił prezes dr Wojciechowski przebieg wyborów we Lwowie.

Nad sprawozdaniem prezesa dra Wojciechowskiego wywiązała się dyskusja. Imieniem obecnych członków Zarządu Okręgu przemówił płk. dr Dwernicki Tadeusz. W gorących, pełnych uznania słowach zwrócił się on do prezesa dra Wojciechowskiego z wyrazami pełnego szacunku i poważania, podkreślając z naciskiem, że nieuzyskanie mandatu we Lwowie przez dra Wojciechowskiego jest poważną stratą dla polskości na kresach Ziem Południowo-Wschodnich, gdyż był on jedynym posłem spośród parlamentarzystów Polaków, który z trybuny sejmowej umiał wystąpić śmiało przeciw antypolskim wichrzeniom ukraińców z Metropolitą Szeptyckim na czele.

Z wywodami dra Dwernickiego solidaryzowali się inni mówcy.

W dalszych obradach dr Wojciechowski w ogólnych zarysach złożył sprawozdanie z działalności Zarządu Okręgu za okres ubiegłych miesięcy oraz wytyczył kierunek prac na najbliższą przyszłość. — W szczególności nacisk położył na akcję Kół Pułkowych i Oddziałów w terenie w dziedzinie opieki nad dziatwą szkolną. Następnie stwierdził, że organ prasowy wydawany nakładem Zarządu Okręgu musi być udoskonalany i nadal rozpowszechniany. — Z dziedziny gospodarczej wskazał, że utworzona ostatnio Spółdzielnia „Niepodległość Gospodarcza" ma widoki pełnego rozwoju, gdyż akcja ta uzyskała aprobatę i pełne poparcie czynników miarodajnych, a w szczególności poparcie u gen. dra Góreckiego, prezesa Banku Gosp. Kraj. w Warszawie. W końcu prezes dr Wojciechowski wyraził życzenie, by o sprawach dotyczących ostatnich wyborów we Lwowie zaprzestano mówić, natomiast by dołożono starań i wysiłków w kierunku uaktywnienia prac w Związku Legionistów i należytej konsolidacji wszystkich Związków Niepodległościowych.

Bezpośrednio po zebraniu Zarządu Okręgu odbyło się pod przewodnictwem płk. Dwernickiego Tadeusza posiedzenie Zarządu Klubu Dyskusyjnego. — Po złożeniu sprawozdania z dotychczasowych prac przez prezesa Klubu odbyła się dyskusja, w wyniku której ustalono dalszą działalność Zarządu Klubu, przy czym ułożono terminy i tematy najbliższych odczytów i wieczorów dyskusyjnych.

—oo—

Oddział Zw. Leg. Pol. — Lwów

Dnia 18/XI. br. wygłosił w świetlicy legionowej Oddziału lwowskiego Profesor *Henryk Cieśla* referat ilustrowany licznymi i pięknymi przeźroczami: *„Legiony w malarstwie, grafice i rzeźbie"*.

Temat to bliski wykładowcy jako rozmiłowanemu kolekcjonerowi i znawcy artystycznych pamiątek legionowych, bliski sercom tych, którym przypominał z natury rzeczy najżywiej rzeczywistość niegdyś krwią pulsującą wraz z okresem ich własnej, górnej i bujnej młodości.

Po przejrzystym, bardzo zajmującym wykładzie nastąpił pokaz przeźroczy. Z żywym zainteresowaniem oglądali b. legioniści przesuwające się na ekranie sceny z życia wojennego, witali postacie wodzów i towarzyszy broni, z których niejeden odszedł już od nich naprawdę i bezpowrotnie w tajemniczy kraj cichych cieni. Wyłaniało się oto z mroków piękno minionych dni, utrwalone w nieprzemijających dziełach sztuki. Wśród wielu innych wyróżniały się obrazy Leopolda Gottlieba, Zygmunta Rozwadowskiego, Stanisława Janowskiego, Józefa Świrysz-Ryszkiewicza, Kajetana Stefanowicza, rzeźby Konstantego Laszczki i Jana Raszki, grafika Włodzimierza Koniecznego i Leona Wyczółkowskiego.

Ponad wszystkim górowała ilością zjaw, pięknem wykonania artystycznego, potęgą obudzonych nastrojów postać Wielkiego Komendanta, najdroższego „Dziadka". Przemawiała najżywiej do wiernych serc żołnierskich, zaprzysiężonych Mu bez zastrzeżeń i bez ograniczenia,

Pokazom towarzyszyły objaśnienia Referenta, jędrne, wnikające w istotę rzeczy, wypowiedziane z ujmującą swobodą, okraszone w odpowiednich chwilach miłym humorem.

Po zakończeniu oficjalnym referatu wywiązała się dyskusja z Referentem, wykazująca, że mamy wśród członków Oddziału niejednego miłośnika i znawcę sztuki legionowej.

Wdzięczni słuchacze wspominają z uznaniem wieczór ofiarowany im przez profesora Cieślę. Korzystamy przeto skwapliwie ze sposobności, by Mu jeszcze raz serdecznie podziękować za referat.

Uwaga!

Profesor Henryk Cieśla pracuje nad *ikonografią Legionów Polskich*. Pragnęlibyśmy przyczynić się podług sił naszych do jak najlepszych wyników tej pracy. Prosimy przeto o przesyłanie wszelkich informacji o rysunkach, obrazach i rzeźbach, związanych z Czynem Legionowym, do naszej redakcji („Wola i Czyn", Lwów, Kopernika 42 a) lub wprost do prof. Henryka Cieśli, Lwów, Hetmańska 20.)

—oo—

Oddział Zw. L. Pol. — Rzeszów

Społeczeństwo rzeszowskie godnie uczciło 20-tą rocznicę odrodzenia Ojczyzny. W tym roku Komitet Obywatelski poruczył zorganizowanie owej uroczystości rzeszowskim oddziałom Związku Legionistów i Peowiaków, z czego — przyznać należy — Związki te wywiązały się w zupełności.

W dniu 10. XI. odprawił Ks. mjr Kisiel za Poległych uroczystą mszę żałobną przy katafalku w kościele Garnizonowym. W czasie mszy św. przygrywała orkiestra wojskowa pod bat. por. Słomowicza. Świątynię wypełniły po brzegi delegacje ze sztandarami oraz rzesze wiernych, na honorowych miejscach zasiedli przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych. Po mszy Legioniści i Peowiacy złożyli piękny wieniec pod płytą Nieznanego Żołnierza.

Wieczorem tegoż dnia tłumy publiczności i wojska wypełniły Plac Wolności. Po odebraniu raportu przez płk. Kunachowicza przemówił do zebranych dyr. Dec, legionista, a zainstalowane na placu megafony umożliwiły nawet najdalej stojącym słuchanie jego słów. Równocześnie został wyświetlony na wolnym powietrzu film p. t. „Na małej wojnie" przez kinoteatr „Henryka", przy czym koncertowały orkiestry wojskowe oraz kolejowa, a płonący stos, blaski różnokolorowych lamp i rakiety świetlne rozjaśniały ciemności.

Z kolei zebrane tłumy ludności udały się pod Starostwo, gdzie podniesiono uroczyście flagę narodową na maszcie i odśpiewano hymn państwowy.

Urządzona w tym samym dniu później wieczorem Akademia ściągnęła tyle publiczności, że wszystkich nie zdołano pomieścić w obszernej jak na Rzeszów sali „Sokoła". Z pięknie udekorowanej flagami i kwiatami sceny przemówił ob. Dostych, legionista, po czym chór T-wa „Lutnia" pod bat. p. Skóczyckiego odśpiewał piękne pieśni (chór męski oraz chór mieszany). Duże wrażenie wywarła recytacja zbiorowa „Fanfary" Mączki przy akompaniamencie 4 fanfarzystów, jak i IV odsłona utworu pt. „Gałązka Rozmarynu" Z. Nowakowskiego. Oba ostatnie punkty programu wykonali uczniowie II Liceum i Gimnazjum Państw. pod kierownictwem Dra Ruczki i p. Piszka, legionisty. Produkcje mieszanego chóru „Lutni" i orkiestry rzeszowskiego Pułku Piechoty wypełniły program.

Uroczystości w dniu 11 listopada rozpoczęła uroczysta msza polowa odprawiona na stadionie przy ul. Langiewicza. Odprawił ją w asyście Ks. mjr Kisiel w obecności licznego grona duchownych miejscowych i zamiejscowych z Ks. Infułatem Tokarskim na czele. Przed pięknie udekorowanym, ustawionym na trybunach ołtarzem polowym zasiedli przedstawiciele władz i organizacyj, a następnie stanął cały garnizon rzeszowski i rzesze publiczności. Po mszy św. odbyła się defilada odznaczonych Krzyżami Zasługi oraz wręczenie sprzętu wojennego tut. pułkowi piechoty przez kier. parowozowni rzeszowskiej p. Limburskiego imieniem pracowników P. K. P. odcinka Rzeszów oraz kpt. s. s. Dongę im. oficerów i podofic. s. s. Obaj podnieśli w swych przemówieniach łączność między armią a społeczeństwem rzeszowskim. W mocnych i podniosłych słowach płk. Siuda podziękował ofiarodawcom za hojny dar.

Ze stadionu przeszli zgromadzeni na plac przed Kościół Garnizonowy i sąsiednie ulice. Po nadejściu kompanii honorowej z orkiestrą wstąpił na trybunę Dr Węglowski, legnionista, rozpoczynając swym przemówieniem akt odsłonięcia tablicy poległych 90 legionistów Rzeszowa i okolicy, ufundowanej przez rzeszowski Oddział Związku Legionistów.

Z kolei starosta p. Stefan Bernatowicz odczytał akt erekcyjny na pergaminie wmurowany we fronton Kościoła Garnizonowego i dokonał odsłonięcia tablicy, którą poświęcił Ks. Inf. Tokarski. Podczas tego chór „Gregorianum" odśpiewał pieśni; pod tablicą złożono wieńce. Zamykając uroczystość Ob. Ślusarczyk, prezes Oddziału Związku Legionistów w Rzeszowie, w krótkim przemówieniu oddał tablicę w opiekę władzom i społeczeństwu w następujących słowach:

„Obywatele!

Zwracam się do Was z serdeczną prośbą, abyście odsłoniętą dziś tablicę poległych Legionistów Ziemi Rzeszowskiej otoczyli pieczołowitą opieką i równym staraniem, z jaką my ją tu na murach tego Przybytku kładziemy, by na dni, lata i wieki świadczyła o ofierze i zasłudze pierwszych żołnierzy zmartwychwstałej Ojczyzny. Niechaj mówi współczesnym i przyszłym pokoleniom o tym, że duch wylata ponad martwe ciało i że nie wszystko ze śmiercią się kończy.

Z tą prośbą serdeczną zwracam się przede wszystkim do duchownych i świeckich władz wojskowych, dzięki których życzliwemu przyzwoleniu tablica ta na czcigodnych murach rzeszowskiego Kościoła Garnizonowego się znajduje. Zwracam się z podobną prośbą do Kierowników i Przedstawicieli państwowych i miejskich Władz i Urzędów Rzeszowa.

Zwracam się z tą prośbą do wszystkich bez wyjątku polskich organizacyj i związków, w naszym mieście się mieszczących, a wreszcie proszę o to całe bez różnicy polskie społeczeństwo rzeszowskie.

Niechaj tablica ta, będąca do tej pory własnością Legionistów i Peowiaków, stanie się od dnia dzisiejszego własnością nas wszystkich, nie zapominających o tym, co w przeszłości Miasta i Narodu było wielkie i piękne, co się łamało w ofierze i co w dani rzucało na stos najlepsze pierwiastki ludzkiego bytu.

Niechaj świadczy i przypomina, niechaj uczy i podnosi. Niechaj mówi do sumień i puka do serc. Niech wzywa do nowych ofiar, nowych zwycięstw i nowej chwały — pokoleń, narodu i Rzeczpospolitej".

Defilada wojsk i organizacji trwająca przeszło godzinę zakończyła obchód. Przed trybuną, na której widzieliśmy PP. Starostę, Ks. Inf. Tokarskiego, Dców pułku, Prezydenta miasta, Prezesa O. S., Prokuratora, przedstawicieli władz cywilnych, — przed delegacją Okręgu i Oddziału Zw. Legionistów przedefilowały sprawnie szeregi wojska i organizacyj tak społecznych jak i zawodowych. Imponująco wystąpili pracownicy fabryki H. Cegielski z dyrektorem inż. Daniszewskim, inż. Kurzewskim i gronem inżynierów na czele.

Po południu tegoż dnia zgromadziły się delegacje wojsk z orkiestrą pod pomnikiem Płk. Lisa - Kuli, skąd razem z publicznością ruszyły na nowy cmentarz. Tutaj wobec zgromadzonych w liczbie około 1000 ludzi Ks. Inf. Tokarski dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod alegoryczny pomnik, który stanie na cmentarzu bojowników o Niepodległość. Pieśni chóru „Lutni" i przemówienie dyr. Deca zakończyły tę podniosłą uroczystość.

W sobotę, dnia 12 listopada urządziły wszystkie rzeszowskie Związki Kombatanckie zabawę ludową z tańcami w sali „Sokoła", która ściągnęła ponad 250 osób.

Piękna pogoda sprzyjała całemu obchodowi od początku do końca.

—oo—

Oddajemy głos

Z oświatą coraz gorzej...

„Wici" z dnia 30 października br. nr 44 piszą

LICZBA MŁODZIEŻY KOŃCZĄCEJ SZKOŁY ŚREDNIE I SZKOŁY POWSZECHNE WCIĄŻ SPADA

Jak wiadomo, ilość dzieci w Polsce stale wzrasta, Mnożą się kandydaci do szkół powszechnych i szkół średnich. Zakłady nauczania w coraz mniejszym stopniu pomieścić mogą te młodociane rzesze. Nie wszyscy jednak z pośród szczęśliwców, mogących korzystać z dobrodziejstwa szkoły, kończą ją i uzyskują ostatecznie świadectwa. Jeśli chodzi o wieś, to liczba absolwentów szkół powszechnych nie tylko nie wzrasta w stosunku do roku 1927/28, a więc w ciągu prawie dziesięciolecia — ale wykazuje stałą, z roku na rok, tendencję malejącą. W roku 1827/8 ukończyło na wsi szkółkę początkową, poprzestając jedynie na tym wyszkoleniu 1.921.000 dzieci — a w roku 1935/6 już tylko 1.802.000. Cyfry powyższe wykazują dowodnie, jak nieustannie kurczy się świadomość kulturalno- społeczna wsi polskiej, która, nie otrzymu-

jąc upragnionej oświaty, pogrąża się coraz bardziej w ciemnotę. Idzie ona w parze ze wzmagającym się ubóstwem w Polsce. Jakże przesadne, jeśli nie fałszywe, są nawoływania niektórych kół, że krajowi grozi nadprodukcja inteligencji, skoro w roku 1927/8 ukończyło gimnazjum 13.530 osób, a po niemal dziesięciu latach świadectw dojrzałości było już tylko 13.633.

Tedy pod względem kardynalnego postulatu postępu i cywilizacji, tj. powszechności oświaty i dobrego prawa kształcenia przyrodzonych uzdolnień jednostki, pnącej się ku światłu i wiedzy opaźniamy się statecznie.

Smutne też są refleksje na temat wydatków Państwa na sztukę i naukę drukowane gdzie indziej:

„Wiadomo, że nauka polska znajduje coraz mniej następców w młodym pokoleniu. Słuchacze wyższych uczelni odwracają się z lekceważeniem od studiów ściśle naukowych. Szczególnie wiedza humanistyczna nie zdobywa dla nauki młodych badaczy. Ktoś pracujący nad ścisłą filozofią, czy psychologią — uważany jest w koleżeńskich kołach akademickich za komicznego dziwaka, przyjmowanego wszędzie z dobroduszną ironią. Może dlatego, że w parze ze studiami ściśle naukowymi idzie w Polsce bieda i opuszczenie.

A jak przedstawia się pomoc państwa dla dla nauki i sztuki? Świadczą o tym wydatki Funduszu Kultury Narodowej. W r. 1928/9 wyłożono na sztukę i naukę 7,729.000 zł, a w r. 1937/8 już tylko 1,078.000 zł — czyli spadek nastąpił o przeszło 70%. W powyższych cyfrach wydatki na popieranie nauki stanowiły w r. 1928/9 — 5,304.000 — zaś w r. 1937/8 zaledwie — 242.000 zł., a więc zmniejszono ten fundusz prawie dziesięciokrotnie. Liczba osób, które otrzymały stypendia wynosiły w r. 1928/9 — 841 — w r. 1937/8 — już tylko 399. Sztuki piękne reprezentowane były w r. 1928/9 271 stypendystami — a w r. 1937/8 otrzymało pomoc już tylko 73 artystów.

Powyższe liczby podnoszą się nieznacznie w latach wyraźnej poprawy gospodarczej (w r. 1932/3 — wydatki ogólne na sztukę i naukę wynosiły 1,089.000 — w r. 1935/6 — 1,344.00) — ażeby w latach następnych okazać znowu wyraźną tendencję zniżkową: rok 1937/8 — 1,078.000. W ciągu branego pod uwagę dziesięcioletniego okresu wzrosły jedynie wydatki na administrację F. K. N. — W r. 1928/9 wynosiły one — 46.000 w r. 1937/8 — 67.000".

—o—

SPROSTOWANIE.

W artykule Dra Bronisława Wojciechowskiego p. t. „Obrona Lwowa trwa" w ostatnim (21) numerze szpalta trzecia, ustęp 3 zaszła pomyłka drukarska, zniekształcająca treść. Ustęp ten powinien brzmieć:

Prawda ta jest dla nas tym boleśniejsza i rodzi tym bardziej opłakane skutki polityczne, że równocześnie owi inteligenci ukraińscy to przede wszystkim ośrodki buntu, podżegania i nienawiści do wszystkiego, co polskie.

—oo—

Kronika życia społecznego

Posiedzenie Prezydium L. T. R. W dniu 14. XI. br. odbyło się posiedzenie Prezydium Lwowskiego Towarzystwa Rolniczego, na którym zatwierdzono bilans zamknięcia i rachunek dochodów i wydatków L. T. R. za 1937/38 rok. Stwierdzono dodatni rezultat gospodarki, w wyniku której po 3-ch letniej pracy nastąpiło całkowite uporządkowanie stanu majątkowego i finansowego Towarzystwa.

Omawiano całokształt prac związanych z organizacją Kółek Rolniczych na podstawie nowego statutu. Na 1955 Kółek Rolniczych zorganizowano 1590 Kółek Rolniczych. W 49 Okręgowych Towarzystwach Rolniczych odbyły się już Walne Zgromadzenia, na których dokonano wyboru władz O. T. R. na podstawie nowego statutu. Uchwalono zwołać w najbliższym czasie Wojewódzkie Zjazdy Prezesów O. T. R., a w okresie zimowym zorganizować we wszystkich powiatach kursy dla Przewodniczących Kółek Rolniczych.

W końcu omówiono szereg spraw organizacyjnych.

Z życia organizacynego osadników. Z rozpoczynającym się okresem jesiennym i zimowym osadnicy polscy, zgrupowani w Powiatowych Związkach Osadników, zorganizowanych kilka miesięcy temu, rozpoczynają pracę w ramach tych związków nad przepracowaniem najżywotniejszych zagadnień osadniczych. W pierwszym rzędzie tych prac jest odpowiednie zespolenie organizacyjne członków i zmontowanie czynnych Zarządów powiatowych. Dotychczas odbyły się posiedzenia Powiatowych Związków Osadników w Sanoku, Bóbrce, Przemyślu, Mościskach, Rawie Ruskiej i Lubaczowie a w dniu 15 listopada posiedzenie Prezydium Małopolskiego Związku Osadników przy LTR we Lwowie, połączone z odprawą inspektorów osadnictwa ziem południowo-wschodnich, które załatwiło szereg aktualnych spraw i opracowało szereg memoriałów do władz.

Kursy organizacyjno-oświatowe. Okres zimowy jest okresem wytężonej pracy organizacyjnej i oświatowej na terenie wsi. W celu więc ujednostajnienia prac terenowych przed tym okresem odbywają się zjazdy i konferencje pracowników. W ostatnich czasach odbyły się takie zebrania instruktorów O. T. R. w Stanisławowie, lustratorów sklepów Kółek Rolniczych w Tarnopolu oraz we Fredrowie. W związku zaś z rozszerzeniem agend Spółdzielni „Dostawa" na skup pierza i puchu Lwowskie Towarzystwo Rolnicze przeprowadziło odpowiedni kurs dla zainteresowanych pracowników terenowych oddziału „Dostawy" w Rudkach.

Zebranie delegatów. Ostatnie zebranie Delegatów O. T. R. we Lwowie wykazało doskonały stan tej organizacji w powiecie lwowskim. Spośród wszystkich działów pracy najlepiej rozwijają się sekcje sadowniczo-ogrodnicza i spółdzielczo-handlowa. W powiecie lwowskim jest już ponad 1.200 ha sadów, a ponad 400 ha samych truskawek. Wybudowano również dwie przechowalnie owoców, a kilka dalszych powstanie w najbliższym czasie.

Sklepów Kółek Rolniczych jest w powiecie 41 z dwunastoma filiami. Utargi w tych sklepach w tym roku przekroczą na pewno milion złotych. Przy dziesięciu Kółkach Rolniczych istnieją także mleczarnie. Są one w takich okolicach, gdzie ludność polska jest w mniejszości, gdzie nie ma jeszcze warunków na silną mleczarnię polską.

Sekcja handlowa, względnie poszczególne Kółka Rolnicze rozpoczęły w kilku miejscowościach organizację skupu produktów rolnych, głównie zboża i jaj. W powiecie lwowskim jest kilkanaście domów kółkowych i cały szereg współwłasnych z innymi organizacjami, a głównie z T. S. L.

W okresie sprawozdawczym urządzono szereg kursów rozmaitego typu. Stan organizacyjny Kółek Rolniczych przedstawia się w ten sposób, że obecnie jest 65 Kółek Rolniczych z 1.845 członkami.

Na tymże zebraniu przeprowadzono wybory zarządu O. T. R. Prezesem został wybrany ponownie p. Bronisław Malik, znany działacz społeczny w Małopolsce Wschodniej.

O. T. R. w Zborowie. W ostatnim tygodniu odbyło się posiedzenie Rady Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Zborowie, w którym wzięli udział delegaci wszystkich Kółek Rolniczych powiatu zborowskiego. Należy podkreślić, że ten oddział z zarządem, składającym się przeważnie z chłopów, odznaczał się w ubiegłym roku dużą żywotnością. Potwierdziły to wybory przeprowadzone już na podstawie nowego statutu, na których zarząd z prezesem p. Stanisławem Sapytą został ponownie wybrany przez aklamację.

Z obrad Okr. Tow. Roln. należy podkreślić dwie zasadnicze uchwały, jedną domagającą się uregulowania spraw oddłużeniowych, a drugą stwierdzającą niecelowość opłat od mąki, które nie stwarzają dostatecznych dla rządu środków akcji interwencyjnej w zakresie podniesienia cen zbożowych, natomiast stanowią pośredni podatek od i tak już zrujnowanego rolnictwa.

Sprawozdanie z handlowej działalności O. T. R. wykazuje dalszy rozwój jego placówek handlowych. Obroty Towarzystwa w tym zakresie przekroczyły w roku ubiegłym 800.000 zł i wzrastają w dalszym ciągu dzięki dużej inicjatywie i zrozumieniu potrzeb wsi, jakie wykazał dotychczasowy zarząd.

Zjazd pracowników agronomiczno-społecznych Okr. Tow. Roln. z woj. stanisł. W dniach od 3—6 listopada br. odbył się w Tyśmieniczanach w budynku Uniwersytetu Ludowego L. T. R. zjazd i odprawa instruktorów rolnych oraz instruktorów zbytu, zajętych przy Okr. Tow. Rolniczych wojw. stanisławowskiego.

Odprawa miała na celu omówienie dotychczasowych wyników pracy w dziale organizacji i w dziale zbytu oraz ustalenie wytycznych na przyszłość.

Poziom obrad i dyskusji wykazał, że pracownicy agronomiczno-społeczni O. T. R. pomimo trudności lokalnych pokonywują te trudności i zdobywają coraz większe wyniki dla polskich organizacji rolniczych zrzeszonych w O. T. R-ach. Kurs ten był pierwszym zjazdem w murach nowopowstałego Uniwersytetu Ludowego w Tyśmieniczanach, który rozpocznie w najbliższej przyszłości właściwe kursa uniwersyteckie.

Zjazd spółdzielczo-rolniczy w Stanisławowie. Dnia 30 października br. odbyła się w Stanisławowie konferencja dyrektorów i kierowników spółdzielni rolniczo-handlowych i rolniczo-spółdzielczych w obecności przedstawicieli Lwowskiego Towarzystwa Rolniczego i Okręgowych Towarzystw Rolniczych.

Konferencja miała na celu dalsze uzgodnienie i koordynację pracy pomiędzy spółdzielczością rolniczą a dobrowolnymi organizacjami rolniczymi. Zaznaczyć należy, że współpraca ta rozwija się coraz pomyślniej, co dobitnie stwierdzono na ostatniej konferencji. Na zjeździe reprezentowanych było 11 spółdzielni i 9 Okr. Tow. Rolniczych.

Kurs dla przodowników P. R. w Zborowie. W dniach od 6 do 15 listopada przeprowadzono w Zborowie kurs dla przodowników Przysposobienia Rolniczego. W kursie tym uczestniczyło 33 przodowników. Wykłady przeprowadzali pp. inż. M. Smolka, insp. L. T. R., inż. Misiewicz, insp. Stacji Ochrony Roślin L. T. R., inż. Zintel, inspektor organizacji W. i G. oraz personal agronomiczny miejscowy.

Na zakończenie kursu przeprowadzono egzamin, który dowiódł, że cały program został przez przodowników opanowany i w pełni wykorzystany.

Hurtownicy Polacy potrzebni na Wołyniu. W miejscowości Ołyka pow. łuckiego i w najbliższej okolicy znajduje się około 900 chałupników, którzy trudnią się wyrobem butów. Chałupnicy ci zmuszeni są sprzedawać swój towar hurtownikom żydowskim i od nich kupują skórę oraz potrzebne przybory szewskie.

Bardzo byłoby więc pożądane powstanie hurtowni polskiej i polskiego sklepu ze skórą oraz przyborami szewskimi.

W okolicy Wiśniowca na Wołyniu miejscowa ludność wyrabia masowo koszyki z trzciny, które zakupują od niej hurtownicy żydowscy, wysyłając ten towar wagonowo na całą Polskę.

Hurtownik Polak, fachowiec w tej branży, miałby tam zapewniony poważny i zyskowny obrót, a spotkałby się również z poparciem miejscowego społeczeństwa.

Kupcy i rzemieślnicy polscy — na Polesiu. W Łunińcu, posiadającym obecnie około 10 tysięcy mieszkańców, brak całkowicie polskiej piekarni, wędliniarni oraz zakładu zegarmistrzowskiego.

Również pożądane byłoby założenie w tym mieście polskiego sklepu bławatnego oraz składu z wyrobami żelaznymi.

Reflektanci z innych dzielnic Polski którzy by się tym zainteresowali i chcieli się tam osiedlić na stałe, mogliby liczyć na poparcie tamt. społeczeństwa i czynników miejscowych.

—o—

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł., pół strony 300 ćwierć strony 150 zł. za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet.

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego i kierujący działem politycznym: **Dr Bronisław Wojciechowski.** Redaktor: **Maciej Freudman.**

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne", Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.